Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 13 czerwca 1937 r.* Nr. 24

Mniszki dmuchawce

Cicha łąka, rozpostarta
Wokół cudnych barw kobiercem...
Dziewczę smutne: czyż to warto
Oddać chłopcu ufnie serce?

Cicha łąka... Nieotarte
Łzy się toczą na znak skargi — —
— Czyż to było tylko żartem?
Bunt zaciska dumne wargi.

Cicha łąka... Wiatr rozwiewa
Wkrąg dmuchawców lekki puszek.
Stałość uczuć?... — ój, zaśmiewa
Się gdzieś obok psotny duszek!

— — — — — — — —

Cicha łąka, rozpostarta
Wokół cudnych barw kobiercem...
— Dziewczę wie już, że na wartę
Mniszek stawić trza przed sercem...

Danuta Wyrybkowska.



WOJCIECH HOLM

35)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Hania skinęła głową na znak porozumienia.

Wsunęła woreczek do kieszeni, wzięła klucz od strychu, kawałek świecy, pudełko zapałek i wsunęła się po schodach na górę.

Prędko otworzyła drzwi i weszła do zimnego pokoju. Chciała zapalić świecę, ale Ida prosiła ją, aby tego nie czyniła.

— Wyciągnij klucz ze drzwi — rzekła cicho — zamknij je od środka i schowaj klucz do kieszeni. Na wypadek, gdyby pani Hai nadeszła schowasz się pod łóżko. Tymczasem ja spakuję najpotrzebniejsze rzeczy i opuszczę ten dom na zawsze.

— Chce panienka od nas odejść? — spytała Hania zasmucona. — Dobra, kochana panienko, niech nas panienka nie opuszcza, bo stracimy naszego, tak dobrego aniola. Pomyślałyśmy już o tym z Terenią, że panienka zechce odejść, ale bardzo nam przykro!

Mówiąc to, zaczęła płakać i szlochać.

Nagle usłyszała Ida ciężkie i głośne kroki na schodach.

— To pani Hai — szepnęła przestraszona — schowaj się szybko, Haniu, nim ona tu wejdzie.

Hania, która nie miała wcale ochoty spotkać się z panią Hai w pokoiku Idy wsunęła się zręcznie pod łóżko i wstrzymywała oddech, aby nie zdradzić swej obecności.

Przytulona do ściany widziała jak się drzwi otworzyły, a przez nie weszła pani Hai do ciemnego, tylko blaskiem księżyca oświetlonego pokoju.

Postawiwszy świecę na stole, zapytała szyderczo:

— No, jak się czujesz, kochana Ido? Czy chcesz wyjść za Teobalda?

— Nie! — odpowiedziała Ida stanowczym głosem.

— W odpowiedzi na to, pani Hai uderzyła ją znowu silnie w twarz.

— Masz! — rzekła ze złośliwym uśmiechem, to będzie twoją kolacją. Zostawiam ci teraz całą noc do namysłu, może przecież zmienisz swoje zdanie! Jutro rano przyjdę znowu i zapytam, czyś się namyśliła, a gdy dostanę przeczącą odpowiedź, to poczekam do obiadu. Może przecież zmiękniesz, gdy mróz głód, pragnienie i bicie dokuczą ci!

— Może mnie pani nawet zabić, ale nigdy mnie pani nie zmusi do czegoś co mi jest wstrętne — odcięła się Ida rezolutnie. — Jest to zresztą dla mnie wielką zagadką, dlaczego pani tak na tym zależy, abym została pani synową!

— Jest to tylko głupi kaprys Teobalda, któremu ustępujemy, bo jesteśmy za słabi wobec niego — odpowiedziała pani Hai. — A teraz dowidzenia, do jutra rana! — dodała szyderczo. — Jutro pomówimy dalej.

To rzekłszy, wyszła z pokoju.

Gdy ucichł odgłos jej ciężkich kroków, Hania wygramoliła się ze swego ukrycia.



„Prawdopodobnie przewód znowu popsuty!...

— Co to za podła baba — rzekła z gniewem — chciałam się na nią rzucić, jak biła panienkę!

Ida spakowała trochę bielizny i jedną z swych sukienek, w mały węzełek.

Na wierzchu położyła francuską biblię swej matki, do której włożyła starannie zasuszony bukiecik niezapominajek, dar Arnolda.

Obrzuciła spojrzeniem nagie ściany swego nędznego pokoiku i przypomniała sobie, jak będąc jeszcze małym dzieckiem, zasypiała tutaj z płaczem!

Przypomniała sobie wszystkie smutne chwile tutaj spędzone, całą nędzę swego dzieciństwa, i serce pękało jej z bólu! Jak nieszczęśliwą była od wczesnej śmierci swej matki!

Wzrosła tu jako biedna, opuszczona sierota, której wypominano każdy kęs chleba! Łajano ją za byle co, nie miała ani jednej przyjemnej chwili! Nawet piękność jej stała się jej nieszczęściem, bo ściągała na nią pożądliwy wzrok Teobalda!

— Jezusie święty, przecież panienka nie zostawi im swego ślicznego, nowego kostiumu? — spytała Hania zaniepokojona. — To przecież jedyna porządna suknia panienki! Proszę wziąć tę suknię i włożyć nowy kapelusz, bo inaczej nie będzie mogła się panienka nigdzie pokazać.

— Nie! — odpowiedziała Ida stanowczo — nie zabiorę prezentów pana Haia! Nie chcę mu mieć nic do zawdzięczenia. Przyjmowałam zawsze podarki jego ze wstrętem, więc teraz z przyjemnością je zostawiam!

— Tegobym nie zrobiła! — zawołała Hania z zapałem. — Co darowane, to darowane. Niech panienka śmiało weźmie te rzeczy, w których tak pięknie wygląda.

— Nie mogę tego uczynić w żaden sposób — zapewniała Ida.

Zwinąwszy lekko swój pakunek, podała Hani rękę i rzekła:

— Dziękuję ci za twoje przywiązanie i kłaniaj się ode mnie Tereni.

Hania wsunęła woreczek z pieniędzmi do kieszeni Idy.

— To przesyła panience Terenia na pamiątkę — zaszlochała. — Ach, Boże, dokąd się panienka uda o tak późnej porze! To już prawie dziesiąta i tak strasznie zimno, a panienka lekko ubrana. Czy nie mogłaby panienka pojechać do rodziców pana Bernarda? To są dobrzy, poczciwi ludzie i przyjęliby panienkę z otwartymi rękami.

Ida zarumieniła się i zaprzeczyła ruchem głowy, gdyż młody prowizor znów próbował zbliżyć się do niej w ostatnim czasie, ona go jednak unikała. Czyż mogła przyjąć gościnność od ludzi, których syna tak upokarzała?

— Nie, nie chcę nadużywać gościnności tych dobrych ludzi — rzekła Ida pośpiesznie — Pan Bóg, który opiekuje się sierotami i mnie nie opuści. Mam dobrą nadzieję.

Raz jeszcze podała Hani rękę i rzuciła już na schodach:

— Nie zapomnij zamknąć drzwi i dziękuję ci raz jeszcze.

— W Imię Boże! — pożegnała ją Hania z żalem, patrząc, jak Ida zbiegła lekko po schodach i opuściła dom, w którym tyle gorzkich chwil przyżyła.

Z węzełkiem w ręce, biegła Ida przez ulice i uliczki Wiednia, bojąc się, aby pani Hai nie wysłała za nią pogoni i nie zawlekła ją z powrotem do domu pod „Złotym Aniołem".

Na wieży świętego Stefana wybiła dziesiąta godzina.

Ida spojrzała na niebo, na jasne gwiazdy i myślała:

— Tam przybywa Bóg i tam też jest dusza mojej najdroższej mateczki. Wyprosi ona dla mnie napewno łaskę u Najświętszego.

Myśl ta pocieszyła ją i dodała otuchy.

Namyślała się, co ze sobą zrobić? Gdzie wyszukać sobie nocleg?

Nie miała nikogo, kogoby mogła prosić o gościnność.

Nie odważyła się też przepędzić nocy gdzieś na plantach, bo było już za zimno na to.

Nagle w swym utrapieniu przypomniała sobie pewną starą, ułomną szwacz-

u której dawniej uczyła się szycia, która nieraz pracowała całymi tygodmi w domu pani Hai. Ale przed dwolaty pokłóciły się z sobą, pani Hai anna Jetka i to tak gwałtownie, że i Hai krzyknęła z wściekłości:

– Dla takich osób, jak pani nie ma ejsca w moim domu! Niech pani paje manatki i wynosi się stąd nahmiast. I jedną radę jeszcze dam i na drogę: niech się pani nie odważy wnieść do mego męża podanie o omogę, bo osoby tego rodzaju co i, nie zasługują na to.

– Dziękuję wielmożnej pani — odła panna Jetka z głębokim, szyderm ukłonem — i proszę się o mnie martwić, gdyż byłby to za wielki zczyt dla mnie. Chwała Bogu, nie wodzi mi się tak źle, jak pani myśli. m kilka tysięcy złotych, złożonych kasie oszczędności i dużo dobrej nteli, która nigdy nie trudniła się najmowaniem umeblowanych pokoi. Dotknąwszy tym do żywego panią i, zebrała panna Jetka swoje nożynaparstki i centymetry i ubrawsię opuściła dom aptekarzów z podsioną głową.

da nie widziała jej od tego czasu. o więc możliwe, że Jetka już zmieniła eszkanie. To byłoby okropne dla dnej, opuszczonej dziewczyny.

da przyśpieszyła kroku i w pół gony później stanęła przed domem, w órym Jetka dawniej mieszkała.

Był to barak, zamieszkany przez sach biednych ludzi.

Niektóre okna były jeszcze oświetlo. Ida spojrzała nieśmiało na czwarte tro, gdzie był pokoik Jetki. Okno w n było jeszcze oświetlone.

da chciała otworzyć bramę, ale ta a już zamknięta.

– Stróż już nie wpuści mnie — pośiała Ida z żalem.

Naraz przypomniała sobie o woreczktóry jej Hania na pożegnanie wepęła do kieszeni i wyjąwszy go, poszła do najbliższej latarni, aby zobaćć, co wewnątrz zawiera.

Była głęboko wzruszoną, gdy zobaiła, jaką ofiarę poniosła dla niej Tenia. Jak długo ta biedna dziewczyna siała pracować, nim się dorobiła tej esiątki! Ile kaprysów pani Hai znieść isiała w tym czasie, ile niezasłużoch łajań nasłuchać, nim oszczędziła iesięć reńskich.

Nie jest to żadną ofiarą dla człowiezamożnego, jeżeli odstępuje część o, czego ma poddostatkiem, dla ulżenędzy bliźnich.

Jeżeli jednak biedak oddaje swój osz zarobiony z trudem, aby komuś pomóc, to czyni bardzo wiele.

Ida nie czuła się już taką opuszczoną, jak przed tym.

Miłość, którą jej okazała Terenia, nałniła jej serce radością.

A więc jest jeszcze ktoś, któremu nie st zupełnie obojętną. Z wzruszeniem sunęła torebkę z pieniędzmi do kieeni i podeszła znowu do domu, w órym mieszkała stara szwaczka.

Przed bramą stała właśnie jakaś ziewczyna i dzwoniła.

— Przepraszam! — przemówiła Ida — czy tu mieszka jeszcze panna Jetka, szwaczka?

— Ta mała, garbata?

— Tak jest — odpowiedziała Ida.

— Mieszka! — uśmiechnęła się dziewczyna — ale od kilku lat już narzeka, że się wyprowadzi. Siedzi jednak ciągle. Za dużo jej tych schodów na górę! Cóż ten stróż, ogłuchł chyba, dzwonię już od pół godziny — dodała. — Pani tak późno jeszcze do Jetki?

Ida potwierdziła skinieniem głowy.

Dziewczyna spojrzała na zawiniątko, które niosła Ida i zaczęła robić głośne domysły:

— Pani pewno straciła nagle służbę. O, ja wiem, co to znaczy, bo byłam także w służbie. Cztery nieznośne dzieciaki musiałam wychowywać, całego domu doglądać, a jeżelim gdzie sekundę dłużej zabawiła, to mi pani zaraz robiła awantury. O, ja znam te panie i dla tego wolałam pójść do drukarni. Ale już stróż idzie! — rzekła, słysząc kroki.

Zapłaciła odźwiernemu za otworzenie bramy, wzięła Idę za rękę i pociągnęła ją za sobą.

Widząc to dozorca pomyślał, że to jej znajoma, która będzie u niej nocować i nie pytał już o nic, tylko wrócił do swojej portierskiej loży.

— Jeżeli Jetka pani nie przyjmie — szepnęła Idzie na pożegnanie — to niech pani przyjdzie do mnie. Mieszkam na piątym piętrze, trzecie drzwi na lewo.

— Dziękuję pani bardzo — odpowiedziała Ida z wdzięcznością.

Dziewczyna pożegnała się z nią, radząc jej, żeby pukała głośno, bo staruszka nie słyszy dobrze, i zaprosiła ją jeszcze raz do siebie.

Ida zapukała kilka razy, aż jakiś ostry, cienki głos kobiecy zawołał:

— Proszę!

ROZDZIAŁ CXXVII.

Wieczór na łonie rodziny Ferier

Rodzina Ferier nie mieszkała w hotelu, bo ze względu na dużą ilość osób, byłoby to za kosztowne, tylko miała kilka umeblowanych pokoi w domu prywatnym.

Już w sieni tego domu usłyszał Leon z Oliwierem ostry głos pani Ferier, dysputującej z jakąś inną niewiastą.

— Nic z tego nie będzie! — krzyczała obca kobieta. — Winna mi pani już za dwa tygodnie, a teraz chce pani znowu kolację, na Bóg wie ile osób. Nic z tego nie będzie! Jeżeli mi pani nie zapłaci, to nie dam ani okruszyny chleba, ani łupki z kartofli.

— Ona jest bardzo nieporadna — szepnął Oliwier Leonowi — dochody mają świetne i Bóg wie, gdzie im się to podziewa, że wiecznie są w kłopotach. No, ale chodźmy przed bramę i poczekajmy, zanim ta burza ucichnie.

— Pani niepotrzebnie się irytuje — mówiła z godnością pani Ferier — dziś jeszcze dostanie pani należność za mieszkanie. Mąż mój przyjdzie z cyrku i przyniesie pieniądze.

— To samo pani mówiła wczoraj — wtrąciła niezadowolona gospodyni.

— Któż może walczyć z losem! — mówiła patetycznie pani dyrektorowa — bowiem fatalny los chciał, że mąż mój spotkał krawca, który tak uporczywie nalegał, że mąż oddał mu wszystkie pieniądze. Ale dziś, to już pani dostanie na pewno.

— No, no! — niedowierzała gospodyni — jeżeli tylko dziś znowu szewc nie zabierze panu dyrektorowi pieniędzy.

— Niech się pani nie boi — pocieszała ją dyrektorowa, u szewca mamy rachunek bardzo nieznaczny. Ale oto i mój mąż — zawołała dyrektorowa uradowana — czy przyniosłeś pieniądze, Raulu?

Pan dyrektor przyniósł pieniądze i zapłacił gospodyni, która udobruchana przyrzekła, że postara się o kolację i wino.

— Teraz możemy już iść — rzekł Oliwier.

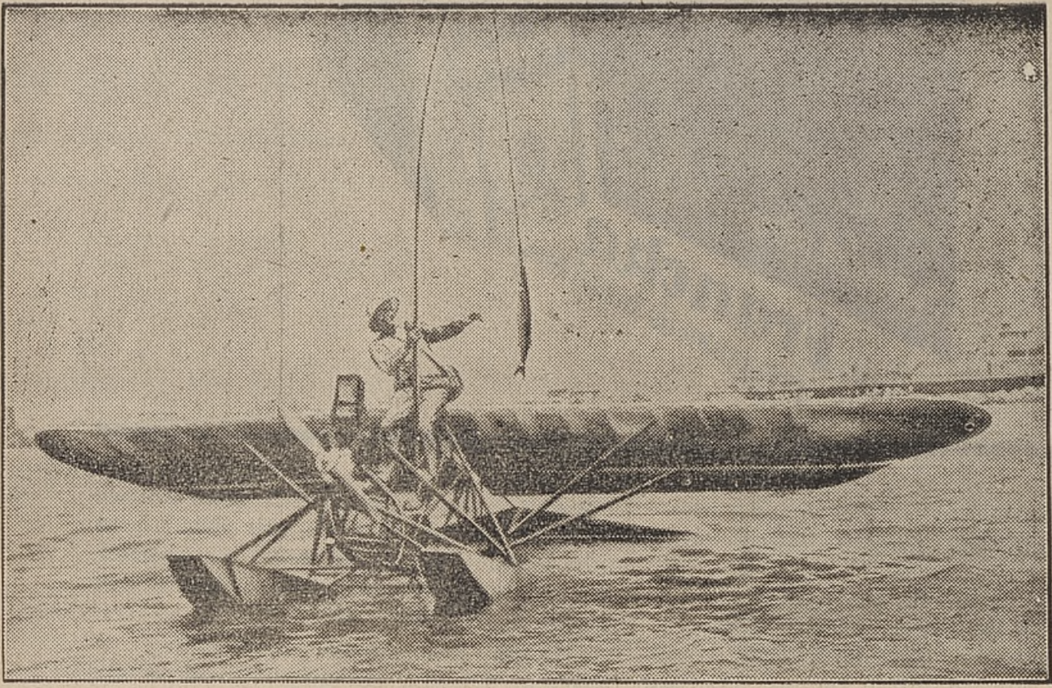
Zapukali do drzwi, i gdy pani Ferier słodziutkim głosem zawołała: proszę! — weszli.

Pani Ferier zajęta była właśnie porządkowaniem salonu, ale na widok gości, rzuciła to równie niemiłe, jak bezskuteczne zajęcie i poprosiła ich, aby usiedli.

Zanim jednak to uczynili, musieli przez kilka minut dobrze pracować, aby pozdejmować nagromadzone najróżniejsze przedmioty z foteli i kanap.

Były tam różne kostiumy, w których dyrektorowa występowała, zabawki dziecinne, słoiki z pudrem i różem, peruki, a na samym spodzie siodło.

— Co za miła niespodzianka! — zawołała pani Ferier zobaczywszy je — tak długo szukałam to siodło i nigdy nie mogłam go znaleźć.



W Ameryce nawet połów ryb odbywa się oryginalnie i ciekawie. Oto obrazek, przedstawiający wędkarza — amatora, łowiącego z zamiłowaniem na pełnym morzu ryby. O tym, że szczęście mu dopisuje — świadczy bardzo wyraźnie zdjęcie!

— Dokąd mam zanieść te rzeczy? — spytał poważnie Oliwier, gdyż wszystkie krzesła także były zarzucone różnymi rekwizytami.

— Jeżeli pan łaskaw — rzekła dyrektorowa — to proszę je położyć za piec, tam najwygodniejszy schowek dla rzeczy, które się chce mieć pod ręką.

Oliwier popatrzył za piec, i w tym najwygodniejszym schowku zobaczył olbrzymi stos najrozmaitszych rzeczy, nagromadzonych aż po sufit. Mimo to zdołał jeszcze wepchnąć tam wszystko, co trzymał w ręku.

Naraz otworzyły się drzwi i weszły: Róża, Fiola i Leokadia.

Dyrektorowa zachmurzyła się w pierwszej chwili, gdyż myślała, że dzisiaj będzie jedyną damą w towarzystwie. Widząc jednak, że mąż zaprosił i artystki, musiała być dla nich uprzejmą.

Zaczęła się żywa rozmowa, w której najmniej udziału brał Leon, a najwięcej Oliwier.

Dyrektora dłuższy czas w salonie nie było, więc zapytano o niego.

— Został chwilkę przy dzieciach — tłumaczyła pani Ferier — zaraz przyjdzie.

Leon namyślał się nad tym, co też stary robi tam przy dzieciach.

Dolatywały ich wprawdzie rozpaczliwe krzyki dziecięce z drugiego pokoju, ale że gospodyni wcale na nie uwagi nie zwracała, więc i goście nie reagowali na nie również.

Nie trudno jednak było się domyśleć po odgłosach, że pan Ferier myje dzieci i czesze, aby je przedstawić gościom.

— To moja najstarsza córka — rzekł wskazując na garbatą dziewczynkę o starej twarzy.

— Bardzo rozsądne dziecko — piszczała dyrektorowa — chociaż ma dopiero 11-ty rok.

— Od pięciu lat — szepnęła Leokadia Leonowi — i jeszcze z pięć lat nie postąpi ani o rok, żeby mama mogła udawać, że jest młodą.

Przedstawione dzieci: Jules, Ferdynand, Claire, Maurin, Jacques, Helene i Margot, z wdzięku pełną żywością zaczęły przeszukiwać kieszenie gości, czy im czego nie przynieśli, podczas gdy gospodyni z najstarszą córką nakrywały do stołu.

Przy tym okazało się, że pokój jest za mały, aby pomieścić wszystkich gości.

Z trudem więc udało się nakłonić dzieci, żeby czekały na kolację w swoim pokoju, ale trzeba im było wprzód kilkakrotnie przyrzec, że dostaną mięsa, wina i ciasta.

Poszły więc, ale zza drzwi dolatywał co chwila okropny wrzask, jakby na dowód, że dzieci państwa Ferier mają zdrowe płuca.

Z gośćmi została tylko najstarsza, garbata Joanetta, która na swoim krzesełku wyglądała, jak jakieś niekształtne zawiniątko sukien i mądrymi oczyma wodziła po obecnych.

Podano kilka ciepłych potraw, tort i kilka flaszek wina.

Zaledwie zapach potraw rozszedł się po pokoju i doszedł do nosów młodego pokolenia Ferierów, wbiegły dzieci z wrzaskiem do salonu i zażądały udziału w wieczerzy.

Szczęśliwi rodzice nie znaleźli innego sposobu poskromnienia ich, jak ten, że każdemu dali do jednej ręki kawał pieczeni, do drugiej kawał tortu, po czym zadowolona banda wyniosła się.

— Szczęśliwe dziecięctwo! — rzekła pani Ferier sentencjonalnie, usprawiedliwiając się równocześnie, że przed gośćmi zajęła się dziećmi.

Gospodarze napełniali talerze i szklanki gości i sami zajadali z apetytem.

Leon znalazł się dzięki zręcznym manewrom gospodyni, obok niej na kanapie. Osobiście nakładała mu na talerz najsmaczniejsze kawałki mięsa, to znowu napełniała mu szklankę winem, przy czym zbliżała się do niego więcej, niż to było koniecznym.

Wyszminkowaną twarzą raz nawet musnęła jego policzki, a grubą i nie bardzo czystą ręką kilkakrotnie dotknęła jego palców.

Wszystko to było bardzo nieprzyjemne. Siedział więc sztywnie, odpowiadał półsłówkami i ledwie mógł przełknąć te wszystkie smaczne kąski, podawane mu tak troskliwie.

Talerz z którego jadł miał wprawdzie złotą obwódkę, ale był pęknięty, nóż zaś miał brudną czarną oprawę.

Nieporządek ten równie był niesmaczny, jak i całe zachowanie się pani Ferier.

Niemiłe było również dla niego to, że Leokadia, która siedziała z drugiej strony, szeptała mu wciąż złośliwie uwagi o konkiecie którą zrobił, a garbata dziewczynka żarłocznie sprzątała talerz po talerzu i wpatrywała się nieustannie w niego i w matkę.

Stawał się coraz bardziej milczący, podczas, gdy ogólna wesołość wzrastała.

Po obfitej kolacji zaproponowano zabawę towarzyską. Zgodzono się na fanty, które miał zbierać Leon.

Założono mu fartuch ,w którym zaczęli wszyscy składać fanty, nieraz bardzo dziwne.

Leokadia, na przykład, dała jako fant swój pasek, który wprawdzie był bardzo wąski, ale musiał ją ogromnie ściskać.

Dyrektorowa znowu nie chcąc się pozbyć swych pierścionków i bransoletek, wolała zdjąć kołnierz z tłustej szyi.

Viola ściągnęła trzewik i wrzuciła go zręcznie do fartucha Leona, a Róża, która ją chciała przelicytować, zdjęła z ogromnym wdziękiem podwiązkę.

Największy jednak efekt komiczny wywarło to, że sam pan dyrektor Ferier, będąc mocno podochocony, mając dać fant, zdjął z głowy własną perukę i pozostał łysy jak kolano.

Przy wykupywaniu fantów, Leon musiał pozwolić na to, że naprzód dyrektorowa zaaplikowała mu kilka głośnych pocałunków i potem trzy baletnice, niby to ze wstydem, nadstawiły mu swoje policzki do pocałowania.

Gdy to samo Ferier miał wykonać z Różą, pocałował ją kilka razy i oświadczył ze łzami, że kocha ją jak dziecko.

Dyrektorowa wcale nie była zazdrosna, zwłaszcza, że w tej samej chwili była zajęta szeptaniem Leonowi czegoś do ucha.

Wszystkiemu temu przypatrywała się garbata Joanetta.

Na chwilę tylko wyszła z pokoju, aby zobaczyć, co się dzieje z dziećmi i wkrótce wróciła. Nie uśmiechała się wcale z grubych żartów, i patrzyła jakimś dziwnym wzrokiem szczególnie na młodego i przystojnego Leona, gdy mu jej matka coś szeptała.

Gdy jej ojciec, który już kilka razy płakał ze wzruszenia, chciał ponownie drżącą ręką napełnić kieliszek, wyrwała mu go z ręki wołając:

— Może już dość tego dobrego, pijany przecież jesteś jak chłop. Jutro o 11-tej masz próbę i nie będę mogła znowu cię zbudzić. Ani jednej kropli więcej pić nie będziesz, ty stary niedołęgo!

Ferier patrzył na nią osłupiałym, ale pokornym wzrokiem.

— Masz słuszność — bełkotał, a język mu się plątał — nie będę już pił.

Zamiast zapewnić sobie przyszłość, moje biedne dziecko, to ja wydaję pieniądze na szampan.

Płakał serdecznie, a taki był już pijany, że goście uważali za stosowne pożegnać się.

Pożegnanie było bardzo czułe.

Na ulicy, Oliwier podał ramię Róży i Violi, więc Leonowi nie pozostało nic innego, jak tylko podać ramię Leokadii.

Aktorka z miejsca zaczęła go kokietować.

Podczas, gdy Oliwier z towarzyszkami przyśpieszał stale kroku, tak, że daleko ich pozostawił, Leokadia zatrzymywała go, idąc powoli, aby ich rozmowy nie słyszano i przytuliwszy się do niego, zapytała:

— Jakżeż panu smakowały pocałunki pani dyrektorowej?

Brrr! — zatrząsł się Leon ze wstrętem.

Leokadia zaśmiała się wyuzdanym śmiechem i zapytała:

— A moje, czy także takie?

— Ależ, jak pani tak może myśleć? — rzekł Leon, pełen niesmaku.

— To niech pan da dowód, że tak nie jest! — zawołała Leokadia.

Leon, nie chcąc uchodzić za dziwaka, pocałował ją, ale bardzo chłodno.

Ona jednak mocno podchmielona, nie zauważyła tego chłodu i odwzajemniła mu się bardzo gorącymi pocałunkami.

Po drodze przystawała kilkakrotnie, aby go jeszcze pocałować, w czym jej nikt nie przeszkadzał, gdyż o tej porze ulice były puste.

Leon był bardzo uradowany, gdy wreszcie stanęli przed jednym domem i Leokadia rzekła:

— Tutaj mieszkam.

Zanim jednak zdążył się pożegnać, zaczęła go gorąco zapraszać, aby wszedł obejrzeć jej mieszkanko.

— Dziękuję — odparł chłodno — wolę panią odwiedzić kiedyś w dzień!

Leokadia zacisnęła zęby z wściekłości.

— Nie chce pan, to nie! — rzekła gniewnie i nie pożegnawszy się nawet, wbiegła do sieni.

Na korytarzu hotelu spotkał się Leon z Oliwierem.

— Pan tu? — zdziwił się Oliwier — myślałem, hm...

— Zapraszała mnie Leokadia do siebie — odparł Leon niechętnie — ale powiedziałem jej, że wolę jej złożyć wizytę w dzień.

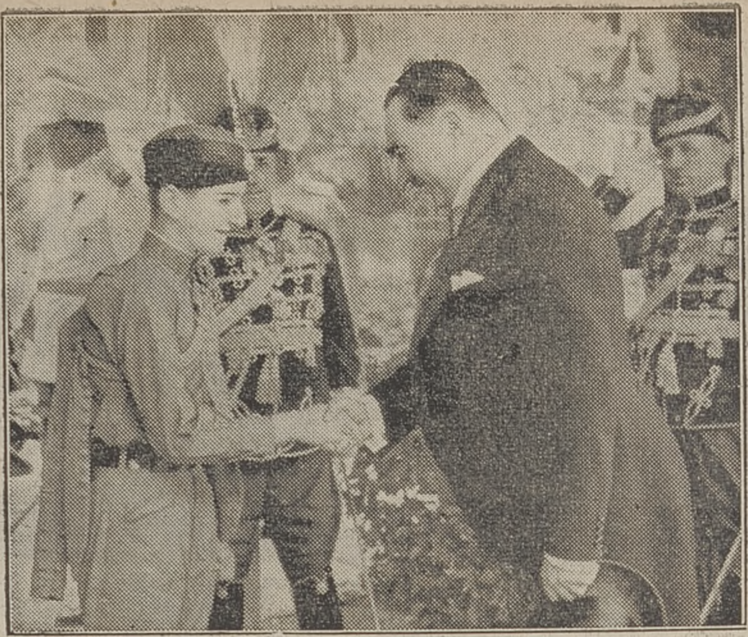
— Ou — zawołał Oliwier ironicznie — czy pan ślubował czystość? Co pan ma do zarzucenia Leokadii? Wcale ładna dziewczynka. Zostanie teraz wrogiem pana.

Leon nie odpowiedział.

— Radzę panu ten fałszywy krok możliwie szybko naprawić — rzekł życzliwie Oliwier — bo może pan mieć nieprzyjemności.

Leon tego wieczoru długo jeszcze chodził po swoim pokoju i usiłował zrzucić z siebie brzemię dusznej atmosfery cyrkowej.

Przed oczyma duszy zaś stał mu portret anielsko czystej jego żony i na jej wspomnienie z głośnym płaczem rzucił się na łóżko. Kiedyś odepchnął od siebie tego dobrego anioła, a teraz okrutne losy rzucały nim, jak wichry zeschłym liściem.



Młody król jugosłowiański Piotr, w stroju sokolim, wita serdecznie w otoczeniu swej przybocznej straży, prezydenta ministrów Stojadinowica.

ROZDZIAŁ CXXVIII

Portret antenata

Dowiedziawszy się o śmierci swojej żony, książę Bela Iffalwi rozgniewał się bardzo, że nie będzie mógł pomścić hańby swego nazwiska. Najwięcej jednak gniewało go to, że o śmierci jej zawiadomił go Umberto Gellini więc musiała umrzeć na rękach kochanka, hańbiąc go jeszcze więcej przed światem i całemu światu odsłaniając długo strzeżoną tajemnicę. Śmierć żony zignorował zupełnie. Nie zaprowadził żałoby u siebie, nie przestał bywać w towarzystwach, w operze — krótko mówiąc, nie zmienił wcale trybu życia.

Również wszyscy znajomi księża zlekceważyli wiadomość o śmierci księżnej i nie składali mu kondolencji. Mimo to zdawało mu się, że w każdym najobojętniejszym słowie ukryte jest szyderstwo dla niego, tak dalece, że nawet pojedynkował się z pewnym oficerem, który zupełnie niewinnie opowiadał coś w jego obecności o pewnym niepocieszonym wdowcu.

Zranił go w ramię tak, że ten stał się niezdolnym oficerem do służby wojskowej.

Kiedyindziej zastrzelił w pojedynku zupełnie niewinnego człowieka, z tego tylko powodu, że w jego obecności odważył się opowiadać o jakimś człowieku, którego opuściła żona.

Od tej pory unikano go wszędzie, co go tak rozgniewało, że znienawidził Wiedeń i wyjechał w głąb Węgier do Ujwar.

A tam srożyła się okrutna zima. Mrozy były tak okropne, że zgłodniała zwierzyna przychodziła do wsi na żer.

W zamku jego zaniedbanym i zniszczonym już bardzo, zagnieździły się myszy i szczury. To też kasztelan przestraszony przybyciem swego pana i jego orszaku, nie mało miał kłopotu ze sprzątaniem i pierwszego dnia tylko dwa pokoje zdążył uprzątnąć dla samego księcia.

Książe zwiedzał zamek.

Często gdzieś z oddartych tapet pod wysokim sufitem na odgłos jego kroków wylatywało ptactwo i uciekało przez powybijane okna.

Zły szedł książę dalej, aż do sali, w której wisiały portrety jego przodków z najdawniejszych lat, a niektóre z nich sięgały nawet XIV i XV stulecia.

Przedstawieni na nich książęta mieli regularne, śmiałe rysy, o wyrazie niezwłocznej energi i ogromnej dumy.

Jako ostatni z rodu, Bela znał dobrze ich dzieje pełne walk i żal mu się zrobiło, że ten waleczny ród miał na nim wygasnąć.

Postanowił więc przeczekać obowiązujący czas żałoby i ożenić się.

Z triumfem spojrzał po sali, jakie wrażenie wywarł jego pomysł na twarzach arystokratycznych przodków.

Naraz spostrzegł na najstarszym portrecie, który przedstawiał Gejzę Iffalwiego, praszczura jego rodu, wielką dziurę.

Z zabobonnym strachem patrzył na to, zaś kasztelan, który przyszedł mu oznajmić, że przekąska gotowa, przeraził się jeszcze bardziej.

— To zły znak — rzekł kasztelan — bo to znaczy, że ród Iffalwich musi wygasnąć.

— Głupiś! — odburknął książe — Bóg wie jak długo ta szmata tu już wisi; gdyby to była prawda, to by nasz ród dawno już musiał wygasnąć.

— Dziś rano portret był jeszcze cały — mówił kasztelan przestraszony. Boję się, że to jakiś zły znak!

— Osioł jesteś, powiadam ci — irytował się książę — dla starych bab schowaj sobie takie gadanie.

— Czy wasza książęca mość nie pamięta już tego podania, które się łączy z księciem Gejzą?

— Nie jestem ciekaw — ofuknął go książę — słyszałem nawet coś kiedyś, ale zapomniałem. Możesz mi zresztą opowiedzieć, tylko streszczaj się.

— Książę Gejza — opowiadał staruszek z widocznym zadowoleniem —



Piękne zdjęcie z okolic Garmisch-Partenkirchen...

przywiózł sobie z wojen tureckich bardzo ładną kobietę. Miała to być córka sułtana i niewolnica księcia, ale piękność jej wzruszyła go tak, że ochrzcił ją i poślubił.

Lecz ona była przez całe życie smutna, książę jednak nie widział tego i kochał ją bardzo. Aby zaś piękność jej uwiecznić i na pamiątkę zostawić potomkom, sprowadził z Budapesztu malarza, który najpierw wymalował jego portret, a potem malował księżnę.

Był to młody, przystojny człowiek. Pewnego razu książę wróciwszy z polowania zastał go na klęczkach przed księżną, okrywającego jej ręce gorącymi pocałunkami. Z wściekłości rzucił się na niego i bezbronnego przebił sztyletem.

Młodzieniec w chwili konania zawołał jeszcze:

— Przeklinam cię, książę, na wieki, bo umieram niewinnie. Prosiłem żonę twoją o opiekę dla mojej narzeczonej, którą tu chciałem poślubić. Ty, nędzniku, przypuszczałeś zaraz najgorsze, choć wiesz, że twoja żona jest czysta jak lilia. Zabiłeś mnie niewinnie, więc będziesz przeklęty i nawet na portrecie twoim przekleństwo moje będzie wisieć.

Kiedy portret ten rozpadnie się, wtedy ostatni potomek twego rodu zginie śmiercią bez sławy!

Z tym przekleństwem na ustach skonał. Księżna podczas tej strasznej sceny dostała pomieszania zmysłów, a wkrótce potem umarła, pozostawiwszy syna.

Kasztelan zamilkł.

Ciemno już było w pokoju a ciemność ta wzmagała zabobonną trwogę księcia Beli. Był jednak za dumny na to, aby zdradzić się przed sługą.

— Bajki! — rzekł pogardliwie — ja nie wierzę w to. Zdejm tę starą szmatę i spal. Bogu dzięki, jeszcze jestem zdrów i cały, a jeżeli naprawdę coś mnie spotka złego, to żyje jeszcze książę Aleksander Iffalwi i dzięki niemu ród nasz będzie istniał dalej.

Ledwie zdołał wymówić te słowa, gdy wszedł służący i przyniósł mu depeszę.

Książę przeczytał i zbladł straszliwie.

Depesza donosiła mu, że Aleksander nieszczęśliwie spadł z konia i zabił się.

Książę Bela był złamany.

Spojrzał na starego kasztelana, który pół wieku służył wiernie jego rodzinie i rzekł do niego ochrypłym głosem:

— Słuchaj, książę Aleksander nie żyje!

Kasztelan osłupiał w pierwszej chwili, potem wydał okropny jęk i wyleciał z sali, jak gdyby gnały go straszliwe furie.

ROZDZIAŁ CXXIX.

Polowanie na dziki

— Jak tam polowanie Kerekes? — zapytał książę nazajutrz rano gajowego.

Gajowy zdał dokładny raport, z którego okazało się, że zwierzyny było bardzo wiele.

Wobec tego książę zarządził polowanie i kazał przygotować nagonkę.

Kiedy gajowy wychodził od księcia, Władysław, kasztelan zaprosił go do siebie. Postawił mu kieliszek dobrego trunku i wypytywał go o księcia.

— Jakiś bardzo dobry się zrobił — opowiadał gajowy. — Kiedym tu był osiem lat temu, to kilka łapek na mnie połamał. Teraz jakoś złagodniał.

— Bo widzisz, dni jego już policzone! — zapewniał tajemniczo Władysław. — A co on ci kazał zrobić?

— Na jutro zwołać polowanie! — opowiadał gajowy.

— Nie może być! — krzyknął Władysław przestraszony.

— Czegoż się tak dziwicie! — spytał gajowy ze zdumieniem.

— Zwariował! — wołał kasztelan — sam lezie w paszczę, sam sobie ko[pie] grób!

— Musiałeś dziś za dużo pić! — uważył poczciwy gajowy.

Kasztelan nie przestawał lamentow[ać].

— Trzeba go przynajmniej ostrzec! — zawołał porywczo i bez ceremonii, [zo]stawiając gościa, poleciał do księcia.

Bela stał przy oknie i nie odwrócił [się] nawet do sługi, tylko spytał szorst[ko]:

— Czego tam?

— Wasza Miłość — mówił Władys[ław] pokornie — proszę się nie gniewać, ja przychodzę tylko z prawdziwe[go] przywiązania...

Książę odwrócił się i spojrzał na n[ie]go bacznie.

— No, mów! — rzekł.

— Wasza Miłość — prosił kasztel[an] z wyciągniętymi dłońmi — błagam o[d] księcia pana, żeby jutro nie szedł [na] polowanie. Ten pęknięty obraz księ[cia] Gejzy!... Po co się dobrowolnie nar[a]żać!

Książę słuchał tego z pewnym wzr[u]szeniem.

— Widzę, że jesteś mi wierny! — [o]powiedział — ale jeżeli śmierć mi j[est] przeznaczona, to zastanie mnie tak s[a]mo w domu, jak na polowaniu. Ch[cia]łbym się nawet z obawy przed nią za[m]knął w pokoju, to i tak może na mn[ie] sufit zlecieć i zabić. Ale nie jeste[m] tchórzem! W każdym razie dzięku[ję] ci za twoją wierność.

Nazajutrz był pogodny dzień zimow[y] pełen jasnego słonecznego blasku.

Książę na czele myśliwych wyrusz[ył] na polowanie i wkrótce ozwały s[ię] strzały i jęki konającego zwierza.

Książę Bela tak był podekscytowa[ny] odgłosami polowania, że zapędził s[ię] głęboko w las i nagle zobaczył, że zost[a]wił służbę daleko poza sobą.

Rozejrzał się po okolicy.

Wydała mu się znajomą, a jednak n[ie] mógł się zorientować, gdzie się właś[ci]wie znajduje.

Nagle usłyszał jakiś szelest i zza krz[a]ków wysunęła się wysoka, strasznie w[y]chudzona postać niewieścia otulona [w] łachmany.

— Przyszedłeś, o książę, żeby nap[a]wać się widokiem swojej ofiary, a wi[ę]c zawiodło cię sumienie na miejsce tw[ej] zbrodni!

— Eleonora! — jęknął książę ze zgr[o]zą.

— Poznajesz mnie? — szepnęła c[i]cho — i zbliżyła się do niego.

Książę zasłaniał się od niej jedn[ą] ręką, a drugą podawał jej woreczę[k] złota, lecz ona odepchnęła je ze strasz[li]wym, obłąkanym krzykiem.

— W jaki sposób mogę ci pomóc? — spytał książę drżącym z litości i trwog[i] głosem.

Nie rozumiała pytania, tylko mięk[ki] ton jego głosu i rzekła czule zbliżają[c] się do niego:

— Książę drogi, zejdź z siodła i obj[i]mij mnie tak, jak niegdyś, przed s[ty] laty. Zejdź i uściśnij Eleonorę!

Książę patrzał na nią z wzrastając[ą] trwogą.

— Ty wahasz się? — wołała obłąka[n]a — a przecież ja porzuciłam dla cie[bie]

bie wszystko, ojca, matkę i narzeczonego!

Dziecko nasze nie żyje — mówiła dalej, ale to nic! — Zejdź! Popieśćmy się jak dawniej na tym miejscu!

— Eleonoro! — odpowiedział książę, dzwoniąc zębami, gdyż dreszcze nim wstrząsały — widzę, że jesteś w biedzie, chcesz, to dam ci dużo pieniędzy! Więcej, niż ci będzie potrzeba!

— Precz! — wrzasnęła Eleonora przeraźliwie — pieniądze twoje przyniosły mi tylko nieszczęście. Przeklinam cię!

Dziki jej głos i ruchy przestraszyły konia, na którym siedział książę, i spłoszony rumak popędził w szalonym galopie, na przełaj przez las i pole.

Wariatka pędziła za nim, powtarzając przeraźliwym głosem swoje przekleństwa.

Książę ledwie się mógł utrzymać na siodle i gdy koń gwałtownym skokiem przesadzał jakiś rów, zleciał na ziemię.

Wariatka nie zauważyła tego i leciała dalej za koniem, przeklinając straszliwie.

Bela zaś leżał na ziemi, nie mogąc się ruszyć. Zdawało mu się, że złamał lewą rękę i lewą nogę.

Prawą ręką szukał srebrnej trąbki, którą przywoływał zwykle służbę, ale musiał ją zgubić podczas szalonej jazdy, bo na szyi jej nie miał.

Od czasu do czasu wołał więc w przestrzeń rozpaczliwym głosem, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Nagle usłyszał chrzęst łamanych gałęzi i dzikie sapanie jakby grubego zwierza.

W następnej chwili ujrzał o kilka kroków od siebie dużego dzika, który wpatrywał się w niego czerwonymi oczyma.

Zanim książę czas miał ruszyć się, zwierz rzucił się na niego najeżonymi kłami.

Rozpoczęła się straszliwa walka, w której po kilku chwilach zwierzę zwyciężyło.

Pod uderzeniami kłów i kopyt dzika, książę Iffalwi wydał ostatnie tchnienie.

Na próżno szukała za nim służba.

Nazajutrz dopiero znaleźli rębacze strasznie pokaleczone jego ciało.

ROZDZIAŁ CXXX.

Na brzegach Missisipi

Majer przestraszył się, nie mogąc znaleźć drogi powrotnej.

Z trudem przedostawał się przez oczerety i na próżno szukał światła wśród ciemności!

Otarł pot z czoła i przypomniał sobie jak mu Brinkmann mówił, że nocny pobyt na bagnach jest niebezpieczny.

— Kto jedną noc przepędzi na bagnach — mówił Brinkmann — przynosi ze sobą straszliwą febrę.

Drżał na całym ciele i z tumanów mgły widział już wyciągające się ku niemu ramiona śmierci.

Padł na kolana, przypominając sobie wszystkie grzechy i złożył ślub, że jeśli się wyratuje wróci do kraju i własnymi rękoma uwolni hrabiego z więzienia.



Interesujący obrazek z wiejskiego podwórza w Normandii...

Ale naraz przyszło mu na myśl, że może hrabia zginął już w podziemiach.

Ślubował więc, że odpokutuje za swój grzech, że wyspowiada się proboszczowi w Königswalden i wyjawi zbrodnie Egona.

W ten sposób dodawał sobie odwagi.

Chciał zapalić ogień, lecz zwilgotniałe zapałki nie chciały się zapalać.

Nagle zobaczył wśród gęstwiny oczeretów jakieś światełka.

Majer był święcie przekonany, że to pokutujące duchy zmarłych, którzy bez spowiedzi zginęli w tych bagnach.

Taki był tym przestraszony, że gdy usłyszał głosy ludzkie, zbladł śmiertelnie.

Wreszcie jednak uprzytomnił sobie, że przecież duchy nie odzywają się nigdy ludzkim głosem i począł wzywać pomocy.

Ucieszył się, zobaczywszy Brinkmanna, który szukał go z pochodnią.

— Wołam pana już dwie godziny — mówił — szczęście, że pana znalazłem!

Dał mu się napić rumu, co Mayera bardzo pokrzepiło.

— Bał się pan bardzo? — zapytał życzliwy Brinkmann.

— Okropnie! — przyznał się Majer.

— Bo też teraz wśród panujących ciemności bardzo łatwo nadepnąć na żmiję — rzekł Brinkmann — a wtedy... uchowaj Boże!

— Moja Zuzia musi być niespokojna o mnie! — rzekł Majer.

Farmer nic mu na to nie odpowiedział, ale przypomniał sobie, jak obojętnie przyjęła Zuzia wiadomość o zniknięciu męża.

Nawet gdy jej Brinkmann tłumaczył, na jak wielkie niebezpieczeństwo mąż jej jest narażony, odparła, wzruszając ramionami:

— Dobrze mu tak! Mógł był zostać we Wiedniu, jak mu radziłam.

Rzeczywiście Zuzia nie okazywała wielkiej radości z powrotu męża.

Majer z ogromnym apetytem zjadł kolację, którą mu postawiła pani Brinkmannowa. Sam Brinkmann zaś jadł mało, gdyż nie był jeszcze zupełnie wyleczony ze swej febry.

Nazajutrz murzyn Sambo udał, że jest ciężko chory.

— Już ja znajdę sposób, żeby go wyleczyć — rzekła pani Brinkmannowa, i gdy się wybrali w drogę wzięła ze sobą pudełko z prochem.

Ledwie weszli do chaty, Sambo zaczął jęczeć przeraźliwie i przewracać oczyma w straszliwy sposób, i żalić się, że jest umierający.

— Biedny Sambo — zawołała pani Brinkmann z pozornym współczuciem. — Przyniosłam ci coś, co cię wyleczy.

Sambo ucieszył się ogromnie, że mu pani Brinkmannowa przyniosła trochę rumu, ale zawiódł się srodze, gdyż dostał wodę zmieszaną z garścią prochu i musiał to wypić.

Skrzywił się straszliwie, a pani Brinkmannowa pocieszała go:

— Niedobra jest — mówiła — ale bardzo skuteczna. Mam to od jednego, bardzo mądrego doktora, który mi tak powiedział:

— Każdy chory, zażywszy to lekarstwo, zaraz wyzdrowieje, ale gdyby się tego napił człowiek zdrowy, straciłby od tego zdrowie.

Sambo zaczął wyć i jęczeć, że mu jest bardzo niedobrze.

— Co mu pani dała? — zapytał Majer.

— Znakomity środek na wymioty! — odpowiedziała szeptem.

W rzeczywistości środek ten zaczął działać i skutkować.

Sambo wił się i mdlał, gdyż dostawał ogromnych nudności i prosił panią Brinkmannową, żeby mu pomogła i ratowała go, przyrzekając, że będzie gorliwie pracował.

W rzeczywistości od tej pory był pilniejszy, ale od zbawiennych środków



Przedstawienia teatralne w Japonii są zwykle bardzo urozmaicone bogatymi nadprogramami. Na ilustracji widzimy powitalne skrzyżowanie broni dwóch mistrzów szermierki, którzy za chwilę rozpoczną niezwykle interesujące, pełne emocyj dla widzów, przedstawienie.

pani Brinkmannowej uciekał z zabobonnym strachem.

Majer także zmienił się bardzo. Pracował za dwóch i nawet sam Brinkmann dziwił się, widząc, jakie spustoszenia robi on w dziewiczym lesie.

Zuzia zaś ani palcem nie ruszyła, aby mu trochę pomóc.

Siedziała bezczynnie przy oknie i ani jej przez myśl nie przeszło pomagać pani Brinkmannowej, która spodziewała się z jej strony jakiejś pomocy.

Majer irytował się tym bardzo, a ona usprawiedliwiała się, że nie może pięknych sukien niszczyć przy gospodarstwie.

Z pierwszych pieniędzy, które zarobię — odpowiedział Majer — kupię ci taką suknię, w którejbyś mogła pracować.

— Ja jestem chora — wymawiała się Zuzia — nie mogę pracować jak niewolnik, a ty Bóg wie, czego żądasz ode mnie.

Po takich rozmowach zwykle Zuzia zapłakiwała się i nadal uprawiała słodkie lenistwo.

Majer nosił więc sam drzewo i wodę, mielił kukurydzę na młynku i wstawał nieraz w nocy i kołysał płaczącego malca pani Brinkmannowej, aby w ten sposób ulżyć pracowitej gospodyni.

W ten sposób zyskał sobie uznanie i miłość całego domu. Żałowano go tylko powszechnie, że ma taką lekkomyślną żonę.

. . . .

Majer tymczasem nad brzegiem Missisipi ułożył duży stos ściętego drzewa i czekał na kupca.

Kilka parowców przejechało obojętnie, nie zatrzymując się, aż jeden wreszcie nabył u pracowitego Majera cały zapas drzewa.

Majer zakupił na okręcie papier, pióro i atrament i zabrał to razem z pieniędzmi.

Zuzia, która z zainteresowaniem przypatrywała się ładowaniu drzewa na okręt i żałowała tylko, że wszyscy byli tak zajęci, że na nią nikt nie zwracał uwagi, zaciekawiona była na co Majerowi trzeba było przyborów do pisania.

— Może chcesz pisać do brata i do jego żony, żeby przyjechali, bo tu tak dobrze? — rzekła Zuzia ironicznie.

— Niedobrze? — irytował się Majer — czego ci właściwie brakuje?

— Boże mój — wołała Zuzia oburzona — dobrze mi tu ma być, kiedy tu człowiek tak siedzi jak w areszcie i przez cały dzień człowieka nie widzi. Żebyś mi był przynajmniej kupił czekolady, albo konfitur.

— Ach — przypomniał sobie Majer — chciałem kupić dla pani Brinkmannowej herbatę.

— O niej to zawsze pamiętasz! — robiła mu Zuzia wyrzuty.

Majer nic na to nie odpowiedział, a błąd swój naprawił w ten sposób, że małej córeczce Brinkmannów dał złotego dolara.

— A ja co dostanę? — zapytała Zuzia.

— Ty masz wszystko, co potrzebujesz — odrzekł Majer.

— Czekaj ,czekaj — odparła płaczliwym głosem — zapamiętam ja to sobie!

Majer zabrał się do pisania listu, ale to szło mu tak ciężko, że pomyślał sobie w duchu:

— Wolałbym zrąbać dziesięć sągów drzewa, niż napisać taki głupi list.

Pot lał mu się z czoła. Długi czas namyślał się, gryząc obsadkę, aż wreszcie umoczył pióro w kałamarzu. Ale za nim rozpoczął pisać, zrobił mu się olbrzymi kleks na papierze!

Wymazał go palcem i zaczął stawiać duże, niezgrabne litery.

Skończywszy, usnął ze znużenia, gdyż nie był przyzwyczajony długo siedzieć w dusznej izbie, a przebiegła Zuzia wykorzystała to, aby leżący na stole list przeczytać.

Treść arkusza brzmiała:

Farma Brinkmanna pod Wilsonton.

11-go grudnia 1884.

Wielebny Księże Proboszczu!

„Pochwalony Jezus Chrystus! Pewnie Ksiądz Proboszcz nie pomyślał, że dostanie list z brzegów Missisipi i ja bardzo przepraszam, ale ślubowałem Najświętszej Pannie, że się Księdzu wyspowiadam, bo mnie sąsiad znalazł, że nie zginąłem w bagnie.

Proszę Księdza Proboszcza, ja mam wielki grzech na sumieniu. Bóg i Najświętsza Panna wiedzą, że nie byłbym tego zrobił, żebym był wiedział, że to tak będzie. A nieboszczyk Gerhard mówił, że to tylko na kilka dni i że jaśnie pan hrabia nieboszczyk kazał. To też ja pomogłem Alojzemu zanieść panicza, młodego hrabiego Wernera niby na dół do podziemia; a potem mi pan hrabia dał tysiąc reńskich, żebym jechał do Hameryki, ino że mnie we Wiedniu te pieniędzy się rozeszli, to ja wrócił do domu i powiedział panu baronowi, co on mnie musi zapłacić, bo ja go zdradzę. A on się bał i zapchał im gębę grzesznym groszem".

Ten list był przerwany, gdyż w tym miejscu Majer zmęczony zdrzemnął się.

— Dobrze, że wiem — cieszyła się Zuzia — ale po co ten dureń zdradza grzecznego barona dla tego głupca Wernera, co dla nikogo nie miał oczu, tylko dla Sylwii.

Uśmiechnęła się złośliwie i wykradła Majerowi arkusz czystego papieru listowego.

— Już ja wiem co zrobię — pomyślała.

Za kilka godzin zbudził się Majer, kazał Zuzi zaświecić lampę i pisał dalej:

„...A ja poszedł do Hameryki. Grosz mi się rozszedł, a sumienie nie daje mi spokoju, więc chciałem prosić, żeby Ksiądz Proboszcz dał znać do policji, żeby uwolnili hrabiego Wernera i przeprosić jego, że ja żałuję, żem tak zgrzeszył, żeby się nie gniewał na mnie.

Całuję rączki

Józef Majer, farmer.

Ukończywszy list, poczuł, że ogromny ciężar spadł mu z serca.

Włożył pismo do koperty, zaadresował, zalepił i położył się spać.

Za chwilę spał snem sprawiedliwych a Zuzia wykorzystała to w celu przeprowadzenia swego oszustwa.

Zwilżyła kopertę ,odlepiła ją, wyciągnęła list Majera i wrzuciła do pieca, potem włożyła do koperty arkusz czystego papieru i zalepiła z powrotem.

Następnie z czystym sumieniem położyła się spać.

Nazajutrz Majer wybierał się do Wilsonton na pocztę, a z nim Brinkmann, który miał robić zakupy.

Zuzia napierała się, aby pozwolili jej iść z nim, ale nie chcieli jej wziąć ze sobą, tłumacząc, że droga daleka i uciążliwa.

Nie pomogły płacze i narzekania Zuzi, Majer zadecydował, że pozostanie w domu, natomiast przyrzekł, że kupi jej suknię i dwanaście fartuszków kuchennych.

To jeszcze bardziej rozzłościło Zuzię.

— Ani mi się nie śni — wołała — ja mam psuć sobie cerę i ręce przy kuchni. Nie masz po co fartuszków przywozić, bo ich nie będę nosić.

Ciąg dalszy na str. 477.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PROSZĘ OGRANICZAĆ KOMUNIKATY!

„Złotowłosy Cherubinek" i *„Wróżka Ali"*. Wujek Janusz nie jest ani poważnym panem w binoklach, ani żadnym młodzikiem, o tym zresztą przekonają się Panie, gdy wpadną kiedyś do Żnina.

Imponuje mi samodzielność „Wróżki Ady". Przypuszczam, że wywalczy sobie Pani jasne i pewne jutro, jeżeli będzie Pani z oddaniem i miłością prowadziła nadal rozpoczęte dzieło. Osobiście życzę Pani wszystkiego najlepszego i powodzenia w wszelkich nowych zamierzeniach.

„Komunikaty" zamieszczam wszystkie, ale proszę Panie, jak i innych Sympatyków, o przysyłanie możliwie jak najmniej tych wiadomości, aby nie zabierać w „Krainie" miejsca innym listom.

„Złotowłosy Cherubinek" przesyła „Rudiemu 220 — 380", „Młodemu Sympatykowi" i „Ahmedowi el Siwi" — dużo, dużo pozdrowień.

„Młodemu Orłowi" życzy powodzenia w przestworzach.

„Milusiowi II." podaje do wiadomości, że wzbudził w serduszku „Cherubinka" zainteresowanie.

„Wiarusowi — Murzynkowi": cześć, Dzielny Żołnierzyku!

A teraz jeszcze trochę słów od „Wróżki Ali":

„Samotny Romie", jeżeli pochodzisz z Cz. i obecnie jesteś w Gnieźnie, to się znamy. „Solidny II.", zgadzam się z Panem, lecz głosu nie zabieram, bo brak mi talentu. „Miły Blondynku", zainteresowałeś mnie! „Jasiu — Sokole"! — czołem! Napisz! „Czarny Florze" — ktoś Ty? „Stel", zazdroszczę Panu trochę tych podniebnych lotów. Może spadnie Pan kiedyś z obłoków i zobaczy, jak u nas ładnie. „Myśliwemu życzę powodzenia w polowaniu na gazelle. „Ali — Alu", podzielam Twoje pragnienia — może Ci powróżyć? Specjalne pozdrowienia załączam dla: „Stęsknionej Irki", „Samotnego Serca", „Zapomnianej Syleny", „Kochania" i „Jednego z Kujaw".

PROSZĘ O PODANIE DOKŁADNYCH ADRESÓW

„Wesoła trójka z Bydgoszczy". „Humorystyczna Nina", „Mała Dzidzi" i „Czarowna Basia" Proszą trzy przemiłe dziewczynki o zainteresowanie sympatyków „Krainki" na swoje konto, gdyż całym sercem pragną rozweselić się i rozjaśnić szarość dnia powszedniego za pomocą szerszej korespondencji.

Zawsze uśmiechnięte, tryskające humorem Bydgoszczanki ślą miłe pozdrowienia dla całej „Rodzinki" w ogóle, a w szczególności Nina dla „Sztubaka" z Bydgoszczy" i „Samotnego Stefa", natomiast „Mała Dzidzi" dla „Podchorążaka z Grudziądza" i „Sztubaka z pod lasu", a od „Czarownej Basi" — dla „Marzącego Sfinksa" i „Janka z Pelplina".

Tylko, w nadziei, że szybko nadejdą listy dla trzech wesołych „łobuziaków", które będzie trzeba przekazać — proszę o podanie dokładniejszych adresów, które zachowam w ścisłej tajemnicy.

KORESPONDENCJA W JĘZYKU FRANCUSKIM

„Dumka". Przykro mi, Kochanie, lecz zmuszona jestem odmówić życzeniu Pani, abym korespondowała z Nią prywatnie. Tak dużo przyjaciół z „Krainki" życzy sobie tego, że doprawdy nie wyobrażam sobie skąd wziąć czas na tyle odpowiedzi. Dlatego proszę o nienadsyłanie znaczka.

Zaś radą chętnie służę. Wydaje mi się, że najlepiej i najsłuszniej byłoby zwracać się do kochanego człowieka w tonie ciepłym i tkliwym, który nie musi być identyczny z lekkomyślną wesołością, której Pani w sercu nie ma.

A może Pani poprosi otwarcie „Blankę", aby „znalazła" jednak więcej czasu dla Pani? Wierzę, że ona przejmie się tą prośbą.

Dodaję zwięźle, z powodu braku miejsca, że są słowa dobre i ciepłe od „Dumki" dla „Blanki", „Czarnego Hajduczka", tudzież wszystkich Sympatyków.

A jest jeszcze jedno, mianowicie siostra „Dumki" prosi o korespondowanie z nią w języku francuskim. Listy, prosi kierować do redakcji dla „Dumki".

ŻAŁUJĘ...

„Złote Słoneczko". Oj, „Złote Słoneczko", sympatią Pani do mnie jest odwzajemnianą z równą siłą.

Żałuję ogromnie, że nie wspomniała mi Pani choć słowem o dniu swych urodzin, niezawodnie byłabym wyraziła życzenia w „Krainie Szczerości".

Fotografia Pani oczywiście dobra i ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

Pozdrawiam Panią i umieszczam Jej własne pozdrowienia tudzież całusy dla „Echa Wsi", „Romantyczki" i „Rozkosznej Dziewczynki", dalej pozdrowień serdecznych moc dla p. Mieczysława Grzegorskiego.

„Fakir" bardzo zainteresował „Złote Słoneczko" i prosi go o napisanie listu. Gotowe jest („Słoneczko") podyskutować z nim na temat „Cafe George", w której często bywa.

DLACZEGO?

„Roma". Pomimo, że życie Pani jest trudne i los nie szczędzi Pani zawodów, nie rozczula się Pani nad swoimi smutkami i stara się zawsze o pogodę duszy i uśmiech na twarzy. Ale, nieraz, gdy jest bardzo ciężko, nasuwają się Pani różne refleksje, a najczęściej: „dlaczego w życiu człowieka jest tyle cierpień, dlaczego?..."

Moja Droga Pani „Romo"! Czyż szczęście posiadałoby swój pociągający urok, gdyby nie miało żadnego przeciwstawienia, czyż cenilłoby się je tak, jak ceni, gdyby nie było cierpień i smutków? Prawda, że nie? Musimy więc, musimy przyjmować i te gorsze niespodzianki losu, wierząc zawsze, że po nich nadejdą lepsze chwile, które złagodzą ból.

Ściskam Pani serdecznie dłonie i na zakończenie trochę wiadomości od Pani dla „Krainy". „Carmen" i „Chiński Zew"! Dziękuję Wam za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Dla „Mixera" łączę szczery uścisk dłoni. Specjalne pozdrowienia ślę — „Janie — Góralce z pod Klimczoka" z zapytaniem, czy nie skreśliłaby do mnie kilku słów. „Niestrudzonemu Wędrowcowi" — słowa pełnego uznania za tak wzniosłe i szlachetne zapatrywania życiowe".

PRZYKRO NAM!...

„Ikar III". O nie P. Ikarze! wierzę i wiem, że „Rodzina" absolutnie nie zgodziłaby się na porzucenie jej przez Pana dla tak nieprzekonywującego powodu, jaki pan podał. Chyba, że właściwy powód jest inny, a tylko nie wyjawił go nam Pan, z sobie tylko wiadomej przyczyny. Jeżeli tak jest — to kapitulujemy, lecz doprawdy z ogromną przykrością. Może się jeszcze „Miły Ikarze" zastanowisz, a narazie zasyłamy Panu przyjacielski uścisk dłoni i silne: „Leć w górę i w słońce Ikarze!"

BRAWO!

„Opuszczona Owieczka". Brawo! dzielna, Droga Pani — proszę nadal pielęgnować swój uśmiech pogodny i miły, a może dokaże Pani tyle, że zamieni się on zwolna w uśmiech prawdziwego, głębokiego szczęścia, które się Jej słusznie należy po tylu bolesnych przejściach.

A gdyby to szczęście miało się wcielić w postać któregoś z godnych, szlachetnych panów, proszę go nie odrzucać, lecz przyjąć z ufnością i słodyczą — wszak trudno całe życie cierpieć, Droga „Opuszczona Owieczko" niech ostatni raz posłużę się dotychczasowym pseudonimem, skoro zamierza Pani go zmienić.

Narazie jeszcze pod tym samym pseudonimem przekazuje Pani serdeczne pozdrowienia dla „Samotnej Sosenki", „Narcyza", „Granata 03" i M. Grzegorskiego z Sosnowca.

BYĆ MOŻE...

„Księżniczka Tirsa". Ależ z największą ochotą daję Pani nie tylko „maleńki kącik", lecz cały ogromny i „sercowy kąt" w naszej „Krainie" I proszę czuć się z nami swobodnie i miło. Być może, że przeoczyłam „Gdyńszczanina", lecz doprawdy zdarzyło się to nieumyślnie. Apel Pani umieszczam w całości poniżej.

„Marzący Sfinksie" ślę Ci pozdrowienia. Czy chciałbyś nawiązać korespondencję z mieszkanką Gdyni? Więc pisz.

„Mikusiu z Borów Tucholskich". Znam Cię mały „Trzpiocie" — ślę Ci śliczne pa!

„Cyganie", czy kiedyś będę mogła przejechać się w twoim „Indianinie"? Lubię tę jazdę szalenie.

„Ahmedzie el Siwi", „Stefie", „Biały Tulipanie" „Niestrudzony Wędrowcu", „Samotny Geniu" i Tobie „Uwięziona Księżniczko" ślę moc pozdrowień z prośbą o liścik — odpowiedź pewna.

„Halo Poeci! zróbcie mi przyjemność, obdarzając krótkim wierszykiem. Postaram się zrewanżować.

RADZĘ DAĆ DROBNE OGŁOSZENIE

„Marylka z nad Warty". Proszę nie tracić nadziei, znajdzie się — wierzę — ktoś rozumny, który pozna się na zaletach Pani charakteru i podejdzie do Pani w sposób szczery i serdeczny, zmieniając tym samym opinię Jej o dzisiejszej młodzieży.

W sprawie miłego spędzenia wakacyj radzę Pani dać drobne ogłoszenie, a z pewnością znajdzie Pani coś odpowiedniego dla siebie.

A teraz do Sympatyków „Krainy": p. Kobiela — zgadzam się na nawiązanie korespondencji, proszę o liścik i dokładny adres.

Halo! „Różo Południa" i „Cyganko o smętnych oczach" — dziękuję Wam za liściki, lecz darujcie, że nie odpiszę — przysłam do przekonania, że korespondencja nie przyniosłaby nam zadowolenia.

„PRAGNĄŁBYM"...

„Paganini z Pałuk". List Pana nastawiony bardzo poetycznie, oddaję w całości do druku:

„Jestem samotnym i dla tego życie wydaje mi się zbyt monotonne i jednostajne i dla tego:

Pragnąłbym znaleźć gwiazdę z pośród wielu, która świeciłaby mi dniem i nocą, która umiałaby wniknąć w mą duszę i dodawać otuchy i siły do osiągnięcia szczytu mych dążeń.

Pragnąłbym znaleźć kwiat żywy, któryby wiecznie kwitnął i czarował mnie swym urokiem.

Lubię piękno przyrody, lubię i kocham piękno sztuki, więc pragnę posiąść i czar i piękno duszy ludzkiej..."

Zasyłam milutkie i serdeczne pozdrowienia dla wszystkich przyjaciół „Krainy", a szczególnie dla „Samotnej Włościanki", „Margaretki" i „Białej Kalii".

Listy do mnie proszę kierować na adres: Poste — restante, Szubin (Pozn.) nr. 100".

PRZYPUSZCZENIA NIE ZAWIODŁY

„Staszka". Przypuszczenia nie zawiodły Panią, lecz to nie zmienia przecież sprawy, prawda?

List załączony wysłałam zgodnie z życzeniem i z serca życzę miłych chwil wyników z tej korespondencji.

PROSZĘ MI WIERZYĆ!

„Elżunia z pod Chełmna“. Z ostatniego listu Pani wnioskuję, że w poprzednim liście zrozumiałam Panią źle. Przepraszam i proszę mi wierzyć, że nie stało się nic złego, nic takiego, co mogłoby Panią w moich, czy Sympatyków „Krainy“ oczach poniżyć lub postawić w złym świetle.

Za pozdrowienia odwzajemniam się Pani ciepłym uściskiem dłoni.

Pozdrowienia załączone przez Panią dla „Cisa“, „Nynka“ i „Bruneta z Pałuk“ — przekazuję.

„Rewelersowi“ komunikuję w imieniu Pani, że korespondencja nie przyniosłaby zadowolenia.

Na zakończenie podaję adres „Elżuni z pod Chełmna“: poste — restante, Chełmno, Pomorze, dla „Elżuni z pod Chełmna“.

ZACHOWANE NA PAMIĄTKĘ

„Smutna i brzydka Irka“. Droga Irko, cieszę się, że trochę pogodniej spogląda już Pani na ewentualne defekty swej urody i niemniej zadowoloną będę, gdy mi Pani już szybko nadeśle swą fotografię — zachowam ją sobie na pełni je odwzajemniam.

Za pozdrowienia serdecznie dziękuję i w pamiątkę.

Poza tym, przekazuję pozdrowienia dla „Marzącego Sfinksa“ i dla „Przedwiośnia“.

PISAĆ NA POSTE - RESTANTE

„Bławatek z Ostrowa Wlkp.“ Hallo! Przedstawiam niniejszym całemu gronu „Krainy“ „Bławatka“ — dziewczynkę zapewne miłą i dobrą.

Piszę „zapewne“, gdyż „Bławatek“ nic konkretniejszego o sobie nie podał.

Więc nasz nowy „Bławatek“ (mamy wszak już inne w „Krainie“) za moim pośrednictwem pragnie wejść w kontakt z „Krainą“, a szczególnie z „Marzącym Sfinksem“, którego serdeczne słowa wywarły głębokie wrażenie i znalazły odzew w duszy tegoż „Bławatka“.

Może więc „Marzący Sfinks“ napisze do naszej nowej przyjaciółki? Adres jej dla „Bławatka“, Ostrów Wlkp. poste — restante.

NIESTETY...

„Jaś — Sokół“. Niestety! narazie listu Pana dla p. F. z Śliwic nie wysłałam, gdyż pani ta adresu swego nam nie podała. Może to uczyni gdy dowie się z dzisiejszego numeru, że zalega dla niej korespondencja. Może być pan pewny Jaśku — Sokole, że nie omieszkam bez zwłoki list ten jej dostarczyć.

Z „fotki“, o ile będzie wyraźna i ładna, skorzystam chętnie.

Za pozdrowienia serdecznie dziękuję i wzajemnie ślę Panu uścisk dłoni.

APEL Z GRUDZIĄDZA

Hallo — tu Grudziądz. Wysoka, przystojna jego mieszkanka pragnie nawiązać korespondencję z miłymi czytelnikami „Moich Powieści“ a w szczególności „Krainy szczerości“.

Listy adresować proszę: Grudziądz, poste — restante — dla „Kitty“.

Za słowa uznania serdecznie dziękuję, a na pytanie odpowiadam chętnie. Otóż warunków specjalnych przyjęcia do grona „Krainy“ nie ma — należy tylko szczerze i bezpośrednio podchodzić do osób decydujących się na rozmowę listowną z Panią.

Jeszcze dodaję, że „Kitty“ specjalne pozdrowienia zasyła „Te — Em'owi“.

MOŻE ZECHCE?...

„Maryśka i Stenia“. Miłe moje dziewczątka, jesteście ogromnie kochane i z przyjemnością zasłałam list, gdzie należy. Poza tym, pozdrawiam, w myśl życzenia, „Zawiedzionego“. „Marusię i Sonię“, „Janę z pod Klimczoka“ i wszystkie Ślązaczki.

Są jeszcze osobne pozdrowienia od Maryśki dla „Wesołego Kozaczka“ — może zechce wystosować do niej liścik?

DZIĘKUJĘ, CHOĆ NIECO PÓŹNO...

„Samotna Włościanka“. Przede wszystkim, dziękuję Ci. Włościaneczko, za te kochane życzenia. Miałam już dawno podziękować, lecz niestety, zbrakło mi czasu i skończyło się na dobrych chęciach.

Listy posłałam, a wszystkim sympatyczkom i sympatykom wyrażam w Pani imieniu słowa pozdrowień i zasyłam uściski.

NIE POSIADAJĄC ADRESU NIE MOGŁABYM PRZESŁAĆ LISTÓW

„Osika“. Miło mi przyjąć do grona „Krainy“ Panią, lecz z miejsca proszę o podanie mi dokładniejszego adresu, bo jakże będę dosyłała listy nadchodzące dla Pani, zwłaszcza, że pragnie miła „Osika“ korespondować z „Starym Kawalerem“, jako że widzi w nim człowieka rozsądku.

Więc proszę koniecznie o podanie adresu, który zachowam w ścisłej tajemnicy i wyłącznie dla siebie.

Z OCHOTĄ!

„Śmieszka z Pomorza“. Z ochotą załatwiłam Pani tę sprawę na marzec. Czy otrzymuje Pani regularnie numery? Na razie ślę Pani serdeczny uścisk dłoni.

JAKŻE MNIE CIESZY!

„Dziewczę z Kujaw“. Niewypowiedzianie cieszy mnie, Droga Kujawianko, że jest Pani tak wiosennie i przeogromnie radośnie usposobiona. Więcej takich promiennych listów, a życie pojaśniałoby niezmiernie.

Życzę Pani nadal podobnego humoru i proszę o liściki w sensie omawianego.

Miło mi umieścić słowa pozdrowień od Pani dla... ale słuchajcie proszę:

„Szaro dziewczynko“ — czekam na list i ślę dużo serdecznych pozdrowień.

Pozdrowienia dla „Maleńkiej Dzidzi“, „Dzikuski z pod Warszawy“, „Hanki z nad Niemna“, „Steni z Ina“, „Prometeusza“, „Blondynki z Pałuk“.

Jeszcze słowo do „Jednego z Kujaw“ — znamy się, prawda?“

DO „TECZKI WUJKA JANUSZA“

„L'espri inquiet“. List wysłałam. Wierszyki radzę Panu przekazać do „Teczki Wujka Janusza“, który jest prawdziwą wyrocznią w wszelkich sprawach, dotyczących wydawania opinii o utworach poetyckich. Łączę wyrazy serdeczności!

ZAKWITŁY JUŻ BZY!

Zakwitły już pachnące bzy,
W ogródku pod oknami,
Znów serce me tęsknotą drży
Jak kiedyś — przed — latami.

I w duszy mej rodzi się znów
Nadzieja tak radosna,
Że przyśle ktoś bukiecik bzów,
Jak było wtedy — wiosną.

W ogródku mym, pachnące bzy,
Roznoszą woń przecudną
A serce me, tęsknotą drży
Taką smutną i złudną...

„Wieszczka Kwiatów“.

Teczka Wujka Janusza

PROSZĘ PAMIĘTAĆ!

„Romantyczny Śpiewak“. Nie wiem, czym dobrze Pana zrozumiał, ale, o ile się nie mylę, to członkami Polskiej Akademii Literatury, są tak wybitne jednostki, jak Sieroszewski, Boy — Żeleński, Nałkowska itd., a nie studenci Wydziałów Rolniczych.

Czy mógłby mi Pan wytłumaczyć, jak się to stało, że zrobili Pana członkiem P. A. L-u. Ogromnie jestem ciekawy!

Nowelka — „Tragedia miłości“ — to najbanalniejsza pod słońcem historia miłosna. Może napisze Pan coś oryginalniejszego, więcej ciekawego?

Rękopisu nadesłanej noweli nie zwróciłem dotychczas, gdyż zapomniał Pan dołączyć 25 gr. znaczek na przesyłkę. Łączę miłe pozdrowienia i czekam na echo mej odpowiedzi.

PRZEBACZENIE

Znów siedzę smutny, z pochyloną głową,
A myśli moje są przy tobie zawsze,
Pamiętam prawie każde twoje słowo...
Serce zranione płacze coraz krwawsze...

Odeszłaś! Czemu? Czemu pogardziłaś
I czemu duszę zatrułaś człowieka?
Gdybyś wiedziała, czym ty dla mnie byłaś,
To byś choć liścik przysłała z daleka...

Ja ci przebaczę, lecz wróć, mój aniele,
Wróć do mnie piękna, jak baśń o królewnie!
Codzień się modlę za ciebie w kościele
I łzy ocieram... Czasem płaczę rzewnie...

Wspominam nasze spacery we dwoje
I wspomnieniami tymi dni me znaczę...
Wróć, niech me serce wreszcie uspokoję,
Ono tak kocha!... Wróć, ja ci przebaczę!

Mieczysław Grzegorski.

CZY ZMIANY ZOSTAŁY PRZYJĘTE BEZ ZASTRZEŻEŃ?

P. Helena K. z T. List Pani dostał się znowu do mojej „Teczki“. Odpowiadam więc na niego, wyręczając w ten sposób p. Zofię.

Chociaż sprawa wierszyka „Dwa słońca“ jest już nieaktualna, to jednak wracam do niej. Otóż, jak już to Pani zapewnie zauważyła, smutny wierszyk Pani zamieściłem w jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści“, po przeprowadzeniu w nim maleńkich zmian. Zmiany te przyjęła Pani, mam wrażenie, bez zastrzeżeń? Proszę mi cokolwiek o tym donieść i przyjąć ode mnie jak najmilsze pozdrowienia.

A teraz kilka słów od Pani do wiadomości ogólnej:

„Bajko“, bardzo serdecznie dziękuję Pani za uznanie, pozdrawiam i proszę odezwać się jeszcze kiedyś.

Hallo! Torunianki i Toruniacy! Kto z Was chciałby wybrać się razem ze mną rowerem do Żnina, celem złożenia wizyty p. Zofii i Wujkowi Januszowi?“

ŻYCIE POETY

Siedzi i pisze, wciąż pisze
piękne, promienne wiersze...
łączy słońce i kwiaty
słowem najszczerszym...

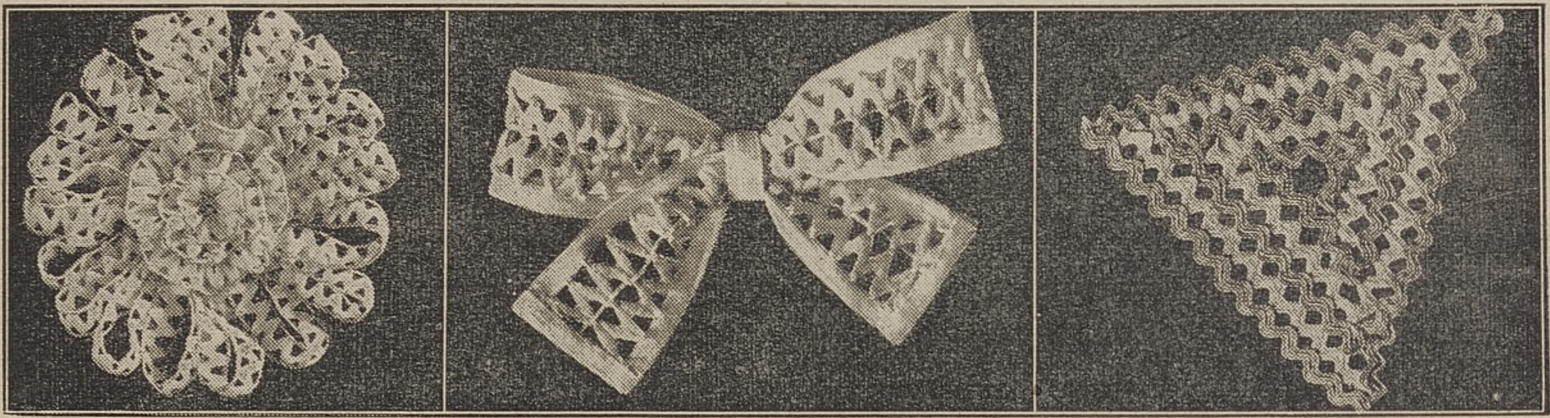
Mgłą mu zachodzą oczy,
głowa ciąży ołowiem —
kaszel wyrywa się z piersi,
gdy słabe ma zdrowie.

Tak wielu dziś piszących —
a o wydawcę tak trudno...
oj, nie wesoła ta dola
i żmudna.

Nędzne jedzenie i sława
zmęczona serca biciem...
Choć obywatela wzorem,
ma być poety życie...

J. F. Płóciennik

Raj kobiet



Białe tasiemki pomysłowo złączone — dają bardzo oryginalne i ładne ozdoby do sukienek.

Jak się ubierają Amerykanki?

Pierwszą cechą, która przybysza z Europy uderza w stroju Amerykanki, jest nonszalancja, z jaką kobieta nowego kontynentu potrafi nosić najwytworniejsze stroje. Na ulicach Nowego Jorku można w porze zimowej spotkać kobiety w najkosztowniejszych futrach niedbale rzuconą linią opływających smukłe kształty Amerykanki, niechętnie poddającej się regułom ustalonym przez tak zwany „dobry smak" europejski. Stąd też wypływają te częste w modzie amerykańskiej ekstrawagancje, które w Europie przedwojennej wywoływały uczucie niesmaku, raziły — w powojennej zaś traktowane są z pobłażaniem, a niekiedy nawet spotykają się z naśladownictwem. Na ogół jednak cechuje Amerykankę wysokie poczucie smaku, które wyskoki nonszalancji w ogólnej linii stroju zastępuje doborem starannym szczegółów uzupełniających.

Czy to chodzić będzie o szalik, rękawiczki czy torebkę, wszystko musi być wytworne, dostosowane w tonie do sukni czy kostiumu. Trzeba przyznać, że masowa konfekcja dostarcza kobiecie amerykańskiej wszystkiego, od najwyszukańszego modelu sukni do najzgrabniejszej torebki damskiej, po cenach mieszczących się w budżecie każdej przeciętnej Amerykanki. Rozwój przemysłu amerykańskiego okazał się najlepszym niwelatorem różnic socjalnych. Każdy robotnik amerykański może mieć swego Forda a każda kobieta, czy to będzie urzędniczka, czy pomocnica domowa, alias służąca, według najnowszych wzorów uszytą swą suknię wieczorową.

Nonszalancja, wyrażająca się w sposobie noszenia stroju, wypływa z charakterystycznego dla Amerykanów w ogóle, wstrętu do ujmowania życia w ciasne kanony przepisu. Twórcy mody amerykańskiej w tym podkreśleniu swej niezależności usiłują w ostatnim czasie odseparować się od wpływów mody paryskiej stworzyć swój własny standartowy styl, wolny od wszelkich wpływów zagranicznych. Mimo to, a może dlatego właśnie, panie amerykańskie, należące do świata tych „wyższych dziesięciu tysięcy", ubierają się najchętniej w Paryżu, który był i pozostanie już zapewne na zawsze centrum mody kobiecej, tak, jak Londyn jest centrum mody męskiej.

Mówiąc o ogólnym wyglądzie kobiety amerykańskiej, trudno nie podkreślić jej nadzwyczajnego zamiłowania do czystości. Kobieta amerykańska potrafi, jak żadna inna, ubierać się starannie, mimo pewnej nonszalancji i, nadzwyczaj czysto. Czystość jest tam podstawowym kanonem życia. Pod tym względem nie ma reguły, którąby nie była przestrzegana. Amerykanka przynajmniej raz na miesiąc odświeża swe suknie. Z przemysłów, że tak powiem domowych, najlepiej prosperują w Ameryce pralnie. Już to samo mówi o skali zamiłowania do czystości. Kobieta amerykańska nie nosi prawie nigdy bielizny ani pończoch dłużej, niż jeden dzień. Nigdzie też nie używają tyle kosmetyków, przeróżnych preparatów do upiększania się, jak właśnie w Ameryce.

RADY PRAKTYCZNE

Jak tępić mole? Przede wszystkim latające w powietrzu mole powinno się łapać i zabijać. Aby zaś zabezpieczyć się przed składaniem przez nich jajek w materiałach wełnianych, dywanach, meblach, ubraniach i futrach, należy rzeczy te wietrzyć i trzepać, szczególnie w miesiącach letnich, najpodatniejszych dla mnożenia się moli. Poza tym wszystkie wełniane ubrania i futra, których w lecie nie używamy trzeba pochować w obszerne kufry, lub skrzynie szczelnie zamykane, albo zaszyć w płótno, obsypawszy je jakimkolwiek ze środków na mole, sprzedawanym w drogerii. Przed molami zabezpiecza także naftalina, ale jej przykry, duszący zapach nie każdy znosi. Tak samo bardzo dobrze działa kamfora w kawałkach, którą przekłada się futra, ubrania i dywany. Na meble, dywany, pościel t. j. pierze i włosie w materacach dobrym jest też sproszkowany siarczan żelaza. Proszek ten wciera się mocno w meble, pościel itp. o ile przez dłuższy czas w lecie mają stać nieruszane i okrywa się je prześcieradłami.

Oprócz tego dobrymi środkami na mole są: kwiat lawendowy, liście chmielu i piołun, liście orzecha włoskiego, oraz ruta postawiona w naczyniu kamiennym.

W mieszkaniu zapobiega gnieżdżeniu się moli, wykadzanie silne przy szczelnie zamkniętych drzwiach i oknach gałązkami bzu, na strychach zaś wykadzanie smołą.

Tępienie karaluchów. Obrzydliwe to robactwo gnieździ się najchętniej po kuchniach i w starych domach, szukając kryjówek. Najlepszym środkiem na karaluchy jest boraks w proszku. Należy go wymieszać z miałkim cukrem i wysypać nim kąty mieszkania, a szczególnie naokoło pieca.

Środek na myszy i szczury. Zwyczajną gąbkę do mycia, lub odpadki gąbek pokrajać na drobne kawałki i usmażyć w mocno nasolonej słoninie. Potem położyć je w pobliżu nor i tych wszystkich miejsc w których te stworzenia lubią się ukrywać, postawiwszy obok płaskie naczynie, najlepiej nadbity talerz z wodą. Myszy i szczury, po zjedzeniu przynęty, czują wielkie pragnienie, więc chciwie piją. Połknięta gąbka nasiąka wodą w żołądku i pęczniejąc, powoduje pęknięcie żołądka, co sprowadza natychmiastową śmierć zwierzęcia.

Dobrym środkiem na wytępienie myszy i szczurów z domu i innych budynków gospodarczych jest dziewanna. Ziele to, rosnące u nas dziko, należy wyrywając z korzeniami porozrzucać po miejscach, w których zwykły przebywać, a z pewnością po paru dniach zupełnie je opuszczą.

DOBRA GOSPODYNI

Marchew duszona. Marchewkę młodą, którą już mamy w czerwcu, nie należy wcale skrobać, ani krajać, tylko odciąwszy natkę wytrzeć i wymyć czysto i w całości sparzyć ukropem, a po tym włożyć łyżkę masła, posolić, zalać kilku łyżkami wody sołem lub wodą, dusić aż do miękkości, w końcu zaprawić wtrzepując mąkę, zasmażyć razem i wydać.

Marchew smażona. Młoda marchewka jest bardzo smaczna smażona. Jeśli jest mała, zostawić w całości, większą po oskrobaniu przekroić na dwoje lub na czworo, opłukać, oblanżerować i podłożywszy łyżkę masła, posolić, zalać kilku łyżkami wody lub rosołem i dusić w parze pod przykryciem. Gdy już nawpół miękka, wsypać sporo miałkiego cukru i nieprzykrywając już smażyć raczej a nie dusić tak, aby nie ładnie ze wszystkich stron obrumieniła.

Marchewka duszona ze szparagami. Młodą marchewkę pokrajać w cienkie talarki, tak samo kilka grubych, obranych szparagów i każdą osobno sparzywszy, ugotować w słonej wodzie z cukrem. Potem zmieszać je ze sobą, włożyć do rondelka łyżkę masła, dodać trochę cukru do smaku, w którym gotowały się jarzyny i dusić aż do zupełnej miękkości. Przed wydaniem zaprawić pół łyżka mąki i zaciągnąć sos dwoma rozbitymi żółtkami.

Purée z marchwi. Kilkanaście marchwi oskrobanych pokrajać w kawałki i ugotować w małej ilości słonej wody do zupełnej miękkości. Potem je utrzeć, przetasować przez sito i zasmażyć z łyżką masła i kilku łyżkami słodkiej śmietany, dodawszy cukru do smaku. Podać można do mięsa lub za jarzynę z grzankami albo omletem.

Ze świata

Odbiornik radiowy za żonę

Radiofonia przyczyniła się do radykalnej zmiany niektórych zwyczajów w Afryce. I tak w Ugandzie (Afryka wschodnia) dawniej młodzieniec ubiegający się o rękę swej umiłowanej, dostarczał swemu przyszłemu teściowi parę wołów. Obecnie zamiast pary wołów trzeba za żonę dać aparat radiowy. Murzyni szaleją za radioodbiornikami. Oczywiście para wołów nie wystarcza na zakup aparatu. Stąd trzeba nieraz całe stado sprzedać, ażeby nabyć radio i zadowolić teścia.

Puder w grobie młodej Mandżurki z przed 500 lat

Członkowie wyprawy naukowej z archeologiem W. Ponosowem na czele badali kraj między osadami Husjantum i Czinche, gdzie niedawno odkryto ślady osad z doby kamiennej. Między innymi znaleziono grób młodej dziewczyny mandżurskiej z przed 400—500 lat. W specjalnej trumnie znaleziono dobrze zakonserwowany szkielet dziewczyny. Podług zębów stwierdzono, że chodzi o dziewczynę w wieku 18—20 lat. U stóp miała garnek gliniany z muszlami morskimi. Pod głową szkieletu znaleziono inną muszlę, w której zachowany był biały proszek. Okazało się, że jest to zwyczajny puder. Archeolodzy znaleźli również ostre części broni, jakiej używali wojownicy ówcześni.

Sztandar z włosów kobiecych

Japońskie organizacje kobiece ofiarowały niedawno marynarce wojennej swej ojczyzny piękny sztandar.

Godnym uwagi jest materiał z którego został sporządzony sztandar. 800 kobiet ofiarowało swe włosy, które zostały odbarwione, a z nich utkana materia na sztandar. Materia została następnie odpowiednio do kolorów narodowych Japonii pomalowana.

Wręczenie sztandaru ministrowi wojny odbędzie się z wielką uroczystością.

Jak lekarze chińscy leczą kobiety

W Chinach, kraju, w którym tradycję stawia się wyżej nad życie, praca lekarza nie jest godna zazdrości. Gdy zachoruje jakaś kobieta, nie wolno

mu jej dotknąć. Z tego względu lekarz musi wozić z sobą szmacianą lalkę, na której pacjentka pokazuje te miejsca, w których odczuwa bóle. Nawet doskonały lekarz z trudem postawi diagnozę na podstawie badania szmacianej lalki. Być może, że gdyby mógł zbadać ciało chorej, szybko usunąłby dolegliwości. Ale na to nie pozwala obyczaj.

Na dopuszczenie lekarza do łoża chorej kobiety pozwalają zresztą tylko rodziny już bardziej postępowe. W tych, które kurczowo trzymają się tradycji, lekarz wogóle nie widzi chorej. Jej mąż, ojciec, lub matka przyjmują lekarza, na szmacianej lalce pokazują mu, na co uskarża się chora i proszą go, aby na tej podstawie ustalił, co to za choroba i zapisał odpowiednie lekarstwa.

ALFRED LORD TENNYSON.

Szarża lekkiej brygady

(NOWELA).

(Osnute na tle filmu o podobnym tytule).

„Aha!" — zawołał przełożony — „Jesteś narzeczonym jego córki. Hm, hm. Nie wiem dlaczego, ale nie sprawiłeś mi uciechy tym wyznaniem".

ROZDZIAŁ III.

W Kalkucie, wśród bujnej roślinności egzotycznego ogrodu, młody oficer i dziewczyna siedzieli przy fontannie, patrząc sobie w oczy. Dziewczyna Elza Campbell, urodą zaćmiewała ogród. Młodym oficerem był Perry Vickers, brat Geoffreya.

Zabrzmiał głos dziewczyny, „Perry powiedz" — rzekła — „dlaczego zależało ci na natychmiastowym spotkaniu?"

„Dobrze, ale przed tym ty odpowiedz na moje pytanie".

„Słucham?"

„Czy kochasz mnie, Elzo?"

Dziewczynę przeraziła raptowność tego pytania. „Oczywiście, Perry — ja ciebie bardzo... bardzo lubię".

„To żadna odpowiedź" — rzekł Perry chwytając jej dłonie. „Czy kochasz mnie tak, jak ja kocham ciebie? Czy wszystko inne przestaje istnieć z chwilą, gdy ja wchodzę do pokoju?"

Elza patrzała na niego ze zdumieniem. „Ależ Perry... pierwszy raz słyszę z ust twoich takie słowa".

Ramię Perry'ego otoczyło jej kibić. „Jeżeli nie słyszałaś, to musiałaś wyczuwać. Oboje wiemy o tym już od dawna — tylko ze względu na Geoffreya staraliśmy się sobie wmówić, że jest inaczej — ale to nic nie pomaga — walka przeciwko samym sobie to rzecz ponad siły. Kochasz mnie — twoje oczy zdradzają, to, choć głos twierdzi inaczej". Elza czuła jego przemożną bliskość. Dwie pary warg spotkały się.

„Ach, Perry" — zawołała Elza zdyszana pocałunkiem. „Próbowałam... panować nad sobą... wszystko na nic. Kocham ciebie".

Perry triumfował. „Wiem o tym — wiedziałem — nic już nas nie rozdzieli. Nawet..."



Maleńka Basia wybiera się z swoim dużym wilkiem po sprawunki...

W oczach jej zabłysła obawa.

„Nawet co?"

Cicho brzmiał głos Perry'ego. „Geoffrey przyjeżdża dziś do Kalkuty".

Słowa te podziałały na Elzę ogłuszająco. — „Geoffrey — tutaj?".

„Dziś po południu nadeszła wiadomość" — dalej ciągnął Perry. „Oczywiście, nie ukrywano tego przede mną. Dlatego natychmiast musiałem cię widzieć".

„Perry, powinieneś był powiedzieć mi to przedtem" — rzekła Elza z żalem w głosie — „...zanim się stało... to co przed chwilą".

„Co za różnica? Myślmy realnie. Ja się nie wstydzę naszej miłości".

„Ależ ja jestem zaręczona z Geoffreyem!" — zawołała Elza.

„Powiemy mu wszystko" — rzekł Perry — „to znaczy ja mu powiem. Na moją odpowiedzialność. Geoffrey zrozumie — na pewno zrozumie. To człowiek wielkiego serca. Elzo. Nie będzie stał na przeszkodzie naszemu szczęściu".

„A jeśli Geoffrey nie zechce zrozumieć — cóż wtedy?"

„Muszę mu jednak powiedzieć — inaczej byłbym nie w porządku" — rzekł Perry, całując ją. „Pomówię z nim po dzisiejszym balu. Wiem, że dostać ma zaproszenie".

Rzeczywiście, Geoffrey był obecny w domu rządowym na balu, wydanym przez Generalnego Gubernatora Sir Charlesa Macefielda na cześć Chana Suratu. Nie brakło tu ani jednej znakomitej osobistości z kalkuckiego towarzystwa, gdyż bal ten był ze strony Sir Charlesa manifestacją przyjaźni wobec pogranicznego watażki.

Sir Charles wiedział, że na terytorium Krymu narasta konflikt pomiędzy Rosją a Anglią, Francją i Turcją, wiedział, że rosyjscy agenci usiłują podburzyć nadgraniczne plemiona przeciwko brytyjskiemu panowaniu. Spodziewał się, że tym gestem przyjaźni powstrzyma Suristańczyków od wejścia na drogę wojny. Wierzył w możliwość utrzymania pokoju za wszelką cenę.

Wśród gości znajdowali się również Geoffrey, Elza i Perry. Perry i Elza spotkali się w oranżerii.

„Strasznie cię kocham" — mówił Perry, biorąc ją w ramiona.

Elza usiłowała zachować lojalność wobec narzeczonego. „To źle" — rzekła.

„Jakto źle?" — zaperzył się Perry. — „Nie bójmy się prawdy. Kochamy się i zawsze będziemy się kochać".

Elza zbladła. Za plecami Perry'ego wyrosła niespodzianie sylwetka jej ojca.

Z trudem tłumiąc wzbierający gniew pułkownik Campbell przemówił: „Elzo! Będziesz łaskawa wrócić na salę". Zwracając się do Perry'ego: „Nie wątpię — rzekł — że poinformuje pan brata o swym wiarołomstwie".

Krew uderzyła do twarzy Perry'ego. „Geoffrey zna mnie za dobrze na to, żeby posądzić mnie o wiarołomstwo".

„To już jego sprawa" — szorstko przeciął pułkownik. „Jeśli chodzi o mnie, to postaram się uwolnić moją córkę od pańskich natrętnych względów".

Perry odwrócił się plecami do pułkownika i z rozmyślnym spokojem zapytał Elzę: „Czy zobaczę cię przed moim wyjazdem do Chukoti?"

Lodowatym głosem odezwał się pułkownik Campbell: „Sekunda, kapitanie Vickers! Wciąż jeszcze posiada pan swoją dawną rangę wojskową, chociaż został pan przeniesiony do służby dyplomatycznej. Zapowiadam, że jeśli nie zastosuje się pan do moich życzeń, użyję wszystkich swoich wpływów, aby uzyskać odwołanie pana do Anglii. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?"

Perry wzruszył ramionami. „Nic więcej sir". Zawrócił na pięcie i poszedł na salę.

ROZDZIAŁ IV.

Dopiero po balu dowiedział się Geoffrey o miłości łączącej Perry'ego z Elzą. Perry udał się do koszra i tam oczekiwał brata na kwaterze, przydzielonej Geoffreyowi przez dowództwo.

„Dobrze, żeś czekał na mnie" — rzekł Geoffrey głosem ciepłym ze wzruszenia.

„Musiałem cię widzieć" — odparł Perry.

„Nie wiele brakowało, a minęlibyśmy się". Geoffrey usiadł na brzegu pryczy szczerząc zęby w przyjaznym uśmiechu. „Jutro znowu odjeżdażm".

„Wracasz z Campbellami do Chukoti?"

Geoffrey wstrząsnął głową: „Nie ma tak dobrze. Macefield mnie wezwał — mam jechać do Arabii i na północ po zakup koni. Trzeba nam dużo człapaków i to dobrych!"

Perry zmarszczył czoło. „Hm, jakby zanosiło się na komplikacje na Bałkanach" — rzekł.

„Mnie się też tak zdaje. Starałem się wysondować Macefielda, ale stary umie trzymać język za zębami".

„Geoffrey" — powiedział Perry, przysiadując się na pryczy do brata. „Coś się stało — coś poważnego"

Geoffrey zapalił fajkę. „Co?"

„Zakochałem się w Elzie" — łagodnym głosem wymówił Perry.

„O!" — zawołał Geoffrey i dodał tonem głębokiego współczucia: „Przykro mi za ciebie. Będziesz cierpiał!"

Perry mówił dalej: „I... Elza mnie również kocha"

Geoffrey podniósł się: „Chyba nie myślisz tego, co mówisz". Głos jego nabrał surowej twardości.

„Mówię poważnie" — ciągnął dalej Perry. „Próbowaliśmy uniknąć tego, bracie. Daję słowo, że próbowaliśmy".

W głosie Geoffreya jakiś śmiertelny spokój. „Rozumiem. Czy wolno mi wiedzieć, jakie są twoje zamiary? Elza obiecała wyjść za ciebie?"

„Nie powiedziała tego wyraźnie".

„Pięknie" — Geoffrey zaczynał tracić cierpliwość „Za moimi plecami brat mój usiłuje ukraść to, co kocham najbardziej na świecie — a kiedy mu się nie udało, przychodzi tu i kłamie w żywe oczy".

„Głupstwa mówisz" — rozzłościł się Perry.

„Głupstwa — nie głupstwa. Wynoś się stąd. Prowadź, gdzie chcesz swoje brudne intrygi — byle nie tu. Mnie się na oczy nie pokazuj".

Perry wstał i skierował się ku drzwiom. „Dobrze" — powiedział. — „Zawsze patrzyłem na ciebie, jak na boga, dzisiaj widzę, że jesteś tylko zwyczajnym małostkowym człowiekiem". Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Geoffrey podbiegł do okna. Spoglądając za odchodzącym, miał w sercu słabą nadzieję, że Perry zatrzyma się i wróci. Ale Perry nawet się nie obejrzał. Kiedy całkowicie znikł mu z oczu. Geofrey westchnął. Żałował sprzeczki, która rozłączyła go z bratem, ale wciąż wierzył w niezłomną wierność swojej ukochanej dziewczyny.

Wierzył w nią również następnego dnia, kiedy wchodził do mieszkania Campbellów, aby się pożegnać. Elza oczekiwała go w gabinecie ojca. Kiedy drzwi się otworzyły, podbiegła do Geoffreya.

„Odjeżdaższ?" — zapytała.

Geoffrey skinął potakująco. „Jedna chwila radości — i znów maszeruj, żołnierzu, w dalszą drogę Ale nie żałuję tej jednej chwili, spędzonej wspólnie. A ty, Elzo?"

Elza była zdecydowana nie sprawiać mu przykrości, więc kłamała odważnie. „Oczywiście nie. — Kiedy wrócisz?"

„Za miesiąc — kto wie? Ale z chwilą, gdy powrócę, bezzwłocznie zapalimy weselne rakiety i urządzimy bal, co się zowie. Czy to odpowiada mojej pani?"

Elza starała się ukryć miotające nią uczucia. „Najzupełniej" — rzekła.

Geoffrey pochwycił ją w ramiona i pocałował. „Za chwilę muszę odejść — ale jest jedna sprawa — głupstwo — wczoraj wieczorem był u mnie Perry..."

Ciało Elzy zesztywniało w jego objęciach. „I...?"

„On się w tobie zakochał, Elzo!"

Odpowiedziała bez namysłu: „Nie bierz go poważnie. To człowiek młody i wrażliwy".

Geoffrey uśmiechnął się z ulgą. „Wiedziałem, że tak jest naprawdę. Perry mocno się na mnie rozgniewał, a ja go obraziłem. Ale nic, to minie, brat mój będzie naszym pierwszym drużbą na weselu. Prawda, kotku?"

„Tak" — szepnęła Elza. Jeszcze jeden pocałunek i Geoffrey odszedł.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

pod. W. Mataczyński — Łysinin.

Nie	skar	a	gi
nę	pla	ma	bu
go	brą	nad	mi
szej	żo	nad	więk
do	sze	więk	złą

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

SZARADA

Pierwsza — to pachnący na drzewach wczesny kwiat,
Drugiej dodaj „k", a będzie czasu znaczny kęs,
Trzeciej — czwartej trza też „k", aby bociek był,
Całość — to rzecz smutna, która gnębi dziś świat.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 18 czerwca br.

Rozwiązanie zadania z numeru 21 „Moich Powieści": 1) „Dal". 2)—3) „Merkury". 4) „Poważny". 5) „Arkadiusz". 6) „Pupilek". 7) „Helutka". 8) „Lesia". 9) „Aza".

(Na 48 nadesłanych rozwiązań, nie było ani jednego, nawet w przybliżeniu, dobrego!)

— Ha! skoro nie jesteś do roboty, ani do niczego, tylko na to, aby na ciebie patrzyć, to ci przywiozę szafę szklaną, abyś sobie w niej siedziała za szybą.

Pani Brinkmann dała im do koszyka chleba, sadła, wędliny, rumu i zapisała mężowi w notesie, to, co jej było potrzebne w gospodarstwie.

Gdy ruszali w drogę, Zuzia siedziała w kącie i płakała:

— Idź, idź! — wołała za mężem — możesz wcale nie wracać. O, ja nieszczęśliwa! Czemuż nie wyszłam za mąż za tego piekarza w miasteczku, który się o mnie starał!

Józef przez całą drogę martwił się pustotą swojej żony.

Brinkman zaś pocieszał go, że Zuzia jest jeszcze młoda i skoro będzie starsza, a będą mieli córkę albo syna, to się ustatkuje.

Majer westchnął i milcząc ciągnął dalej wózek przeznaczony na prowianty.

Do Wilsontown przybyli późno w nocy i zanocowali w brudnej gospodzie jakiegoś Irlandczyka.

Zasnęli odrazu, bo byli zmęczeni. Nazajutrz rano zapłacili niezwykle drogo za nocleg i wybrali się po zakupy.

Majer dziwił się drożyźnie, jaka panowała w Wilsontown.

Za buty na przykład żądano 10 dolarów, to znaczy prawie 70 zł, za siekierę 8 dolarów.

Majer kupił jeszcze kawy, cukru i herbaty, lalkę dla Maryńci za 4 dolary a dla małego chłopczyka Brinkmannów, baranka z dzwonkiem, który poruszał głową i beczał.

Dla żony kupił pomimo jej niezadowolenia suknię i kilka fartuszków.

Kiedy już załatwili wszystko, zaczęli namyślać się, czy nie zostać jeszcze przez dzień w mieście, gdyż najwcześniej mogliby być w domu o północy.

— Chodźmy lepiej do domu — rzekł Brinkmann nagle — jestem jakiś niespokojny!

Ucieszył się, że Majer także był gotów do powrotu i natychmiast ruszyli w drogę.

Gdy się ściemniło ,zapalili sobie latarkę i szli bez odpoczynku.

Przybywszy do domu po północy, zdziwili się, że zastali jeszcze światło, a panią Brinkmann bladnącą w obawie o dzieci.

— Złodziej jakiś sprzedał twoje drzewo przejeżdżającemu parowcowi — lamentowała pani Brinkmann — tyleś się męczył! — płakała — jeżeli do wiosny nie będziemy mieli tyle, żeby uciekać z tej przeklętej okolicy, to wszyscy razem z dziećmi zginiemy tutaj marnie.

Kto to mógł ukraść? — spytał Mayer również bardzo zmartwiony.

— Sambo znikł bez śladu opowiadała płacząc pani Brinkmann. — Wczoraj popołudniu przyszła do nas z wizytą sąsiadka Troren z dziećmi i przyniosła nam piernika i suszonych owoców. Wieczorem przychodzi po nią mąż i powiada:

Ile mąż pani dostał za swoje drzewo?

Ja odpowiadam: Nic nie dostał, bo jeszcze nie sprzedał. — Jak to — powiada — to chyba już gdzieindziej składa drzewo, bo tam gdzie zawsze składał, to już nie ma.

— Myślałam, że mi się ziemia usuwa pod nogami. Biegnę tam i z daleka już widzę, że to prawda. Upadłam na ziemię i płakałam, aż on mnie przemocą prawie zabrał do domu. Przychodzimy tu, Samba nie ma; to on ukradł.

— Na to jeszcze nie ma dowodu — odpowiedział Brinkmann.

— Ale z pewnością! Świnie także zakłół i zabrał ze sobą i wszystko, co miał. Dawno już to musiał uplanować, a teraz skorzystał z waszej nieobecności — mówiła pani Brinkmann płacząc rzewnie.

— Niech się pani nie martwi — pocieszał ją Majer, będę trochę pomagał mężowi pani, to się jakoś ta strata odrobi.

Zuzia przysłuchiwała się dotychczas temu wszystkiemu siedząc spokojnie, oparta łokciem o stół.

Słysząc ostatnie słowa Majera, zerwała się jak opętana.

— Jeżeli zechcesz pracować dla obcych ludzi — wrzeszczała — to nie trzeba było żenić się! Co ty zarabiasz, to jest w połowie moje!

— Stul pysk! — krzyknął jej na to Majer. — Ty mi tu nic nie masz do gadania! Tak będzie jak powiedziałem.

ROZDZIAŁ CXXXI.

Oszukany oszust

Należy jednak szanownym czytelnikom wyjaśnić wprzód niektóre zdarzenia z poprzedniego rozdziału.

Sambo od szeregu lat we farmie „Szczęście i błogosławieństwo", prowadził żywot wcale wygodny.

Ofiary Schulzego, które kupowały od niego tę farmę zwykle w krótkim czasie umierały na febrę, albo ostatkiem sił uciekały z nieszczęśliwej okolicy.

W jednym, czy w drugim wypadku Sambo zostawał samowładnym panem całej farmy, a cała jego robota polegała na tym, że niezgrabnie uprawiał kawał pola i karmił chude świnie.

Gdyby w Mississippi nie woda płynęła, ale rum i gdyby Sambo miał żonę, na którą by mógł zwalić tę robotę, czułby się najszczęśliwszym w świecie.

Przybycie Majera zmieniło wszystko. Sambo nic nie miał przeciwko temu, że Mayer sam pracował, lecz oburzył się w duchu, że ten i od niego wymaga pracy.

Postanowił go więc opuścić, musiał się jednak naprzód zaopatrzyć w pieniądze na drogę.

Właściwie postanowił sprzedać drzewo Majera, ale gdy go w tym Majer wyprzedził, zwrócił swoje zamiary w stronę Brinkmanna i wyzyskał ich nieobecność, do wykonania swoich zamiarów.

Sambo był pewny, że Zuzi się nie zechce, a Brinkmannowej nie stanie czasu przyjść doglądać co on robi, zakłół więc zupełnie spokojnie swoje świnie i powiesił je na powietrzu, aby oschły i zzimniały.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



„Dziewczynka z kotkiem" — oto tytuł sielankowego obrazu, który został ostatnio wyróżniony na wystawie rodzimego malarstwa Niemiec.

ADAM CZEKALSKI

13)

Sen o zemście

Ale nie on jeden tylko zdenerwowany był na tej sali. Niepokój wynikły z oczekiwania, udzielił się prawie wszystkim komiltonom frakcji księcia Panie Kochanku, zwłaszcza bliżej całej sprawy stojącym.

— I cóż, Janie? — przysunął się kasztelanic Górski do starosty opeskiego. — Walpurgia nie ukazuje się jakoś, nie chce snać owa Mylita uciańska pokazać nam się na oczy.

Jan spojrzał groźnie na przyjaciela, jakby go wzrokiem chciał zasztyletować, ale nic nie odrzekł.

— Może w tej chwili zajęta jest obdarzaniem swymi łaskami kogoś ze znaczniejszych komiltonów familiinych i stąd owo spóźnianie się — drwił dalej kasztelanic, sądząc, iż owymi sarkastycznymi uwagami rozweseli Jana, a tymczasem były one sztyletem, który pogrążał mu się w serce.

Spostrzegł jednak nadzwyczajną bladość przyjaciela, a nie pojmując jej przyczyny i nie chcąc pytać, odszedł.

Jan zawisł wzrokiem na drzwiach wejściowych, przez które wciąż ktoś wchodził i wychodził, ale tej jednej, nad wszystko oczekiwanej, nad wszystko upragnionej, nie mógł się doczekać. Wszedł natomiast pan marszałek Łopaciński, a z miny jego strapionej poznał pan starosta, że sprawy nie stoją dobrze.

— I cóż? — spytał Jan, gdy marszałek zbliżył się do niego.

— Nic z tego. Córa Strutyńskiego odmówiła rozmów.

Jan zagryzł usta boleśnie i spazm goryczy ścisnął mu krtań. Marszałek poszedł dalej, zostawiając Ciechanowieckiego w najwyższej pogrążonego rozpaczy.

Spiskowcy ze starym Ćwilichowskim na czele, stali zgrupowani w jednym rogu sali, mając oczy ustawione raz na wejście, raz na Ciechanowieckiego. Jan widział ich i teraz przypomniał sobie, że miał im dać znak. Skinął przeto głową ku staremu Ćwilichowskiemu, a ten odłączył się od towarzyszy i wolnym krokiem zbliżył się do niego.

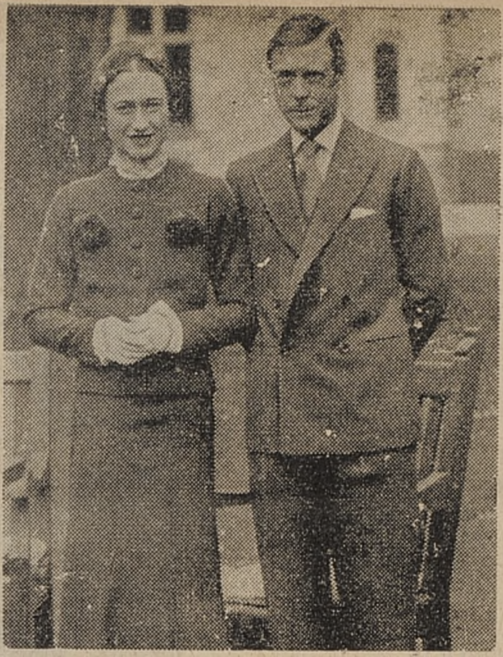
— Rozmowy zerwane — szepnął Jan, nie zdejmując wzroku z drzwi — rozstaw waćpan ludzi tak, by wszystko było w gotowości.

— Wszakżeż nie masz jej tu jeszcze — zauważył szlachcic.

— Przyjdzie, na pewno przyjdzie, choć by dlatego, by nam swoje lekceważenie okazać. Konie stoją za rzeką — informował dalej starosta — pachołek czeka na dole; on was poprowadzi.

— Dobrze, idę wydać zarządzenia.

Po chwili spiskowcy znikli z sali balowej i zgrupowali się na dole, przy podjeździe. Teraz dopiero Ćwilichowski spostrzegł jeden brak, którego nie wzięto w rachubę: oto do rzeki, poza którą stały konie, był znaczny szmat drogi. Jakże więc dostaną się tam? Tymczasem stary wyga Strutyński podniesie alarm, zbiegną się przyjaciele i na szablach ich rozniosą.



Ostatnia fotografia przedślubna pani Warfield — Simpson i księcia Windsoru.

— To najmniejsze zło — wtrącił młody Wilczek — moje konie stoją opodal — nimi dopadniemy rzeki.

Sprawdziwszy wszystko i porozstawiawszy przyjaciół, stary Ćwilichowski poszedł do góry, aby straż przy drzwiach trzymać.

Ciechanowiecki wciąż stał na tym samym miejscu, do trupa raczej, niźli do żywego człowieka podobny, i wciąż patrzył w drzwi, doznając bolesnych skurczów serca, ilekroć ktoś wchodził.

Aż w końcu ukazała się i ona, owa jedyna, owa wyglądana, upragniona i nad wszystko w świecie ukochana. Wsparta na ramieniu ojca — wydała się Janowi jeszcze piękniejsza, jeszcze urokliwsza, niezwyklejsza, pewniejsza siebie.

Wpił się chciwym wzrokiem w tę postać umiłowaną, w jej twarz ironicznie uśmiechniętą, a taką cudną, śledził każdy jej krok, każde stąpnięcie.

Cała przeszłość dawno umarła odżyła w nim znowu, z dawną mocą, z dawną siłą, ta przeszłość ich wspólna, która teraz wydała mu się podobną do brylantowego pasa, błyszczącego w słońcu wszystkimi barwami tęczy.

Jeszcze bledszym stał się teraz starosta; na tle białej ściany — do ściany był podobnym.

A Jadwiga poruszała się swobodnie, urokliwie, wesoło, zdając się wcale nie spostrzegać Jana, chociaż wzrok jej spotkał się parękroć z jego wzrokiem, ale ześlizgnął się jeno obojętnie.

— Comme je l'adore, comme je la hais! — mruknął Jan do brata Michała i nie spuszczał z oczu najdroższego zjawiska.

Rozpoczęły się tańce, w których Ciechanowiecki nie brał żadnego udziału i nie spostrzegł nawet, że na sali robi się gorąco, gwar się wzmaga i raz po raz ktoś szuka zwady.

Kasztelanic Górski, mszcząc się za przyjaciela, robi prawie na każdym kroku afronty ślicznej pani Hedwige. To podstawi jej w tańcu nogę brutalnie, aby się przewróciła, to omija ją, gdy menueta lub poloneza z nią tańczyć przychodzi mu w tej lub innej figurze, a już stale szepcze zebranym uwagi obelżywe.

— Gdy w owczarni znajdzie się owca parszywa — rzuca w pewnej chwili na tyle głośno, że piękna pani Hedwige nie może go nie słyszeć — mój owczarz oddziela ją od stada, by innych nie sparszywiła. Zaiste, o ileż mędrszym wydaje mi się być ów prostaczek od ludzi oświeconych naszej epoki!

A gdy ktoś z przyjaciół zapytuje, jakie znaczenie mieć to może w danej chwili, pan kasztelanic rzuca już głośno:

— Czyż trzeba dokładnie to wyjaśniać? Zaliż nie widzisz waszmość hasającej haetere polonicae i zbiegłego spod miecza katowskiego infamisa? O tempora, o mores! Miast psami wyszczuć tę współczesną nam Mylitę uciańską, miast infamisa katu oddać — my ich wenerujem, do konfidencji dopuszczamy.

Zbladła z gniewu i wściekłości śliczna madame Hedwige, zbladł i starosta opeski, któremu słowa kasztelanica Górskiego wydały się być śmiertelną obelgą, rzuconą w twarz jemu samemu. Więc nie zastanawiając się nad swoim postępkiem, pan Jan przeszedł gwałtownym krokiem salę i stanął z groźną twarzą przed kasztelanicem.

— Waćpan zachowałeś się niegodnie wobec osoby, która do dziś nie przestała nosić mojego imienia — odezwał się zduszonym głosem. — Waćpan mi za to odpowiesz.

Kasztelanic, zdumiony bezgranicznie, bo nie rozumie w tej chwili, jak zresztą nikt tego pojąć nie może, dlaczego starosta chce się bić znowu o tę kobietę, ale skłania się przed Janem i wyzwania nie przyjmuje.

Brat Stanisław ścisnął mocno, niby kleszczami, ramię Jana.

— Janie! — syczy mu nad uchem — czyś zmysły postradał? Na Boga! opamiętaj się, szalony. Co czynisz? W obronie wrogów naszych śmiertelnych — przyjaciół na plac wzywasz?

Potrząsa nim, próbuje wzruszyć, na uczucia braterskiej przyjaźni kasztelanica się powołując, do gniewu podniecić, pamięć zabitego Ksawerka wspomniawszy, krzywdy ich krwawe, jakich od Strutyńskiego doznali — wyliczając... Ale Jan pozostał głuchy na słowa brata, bo zapatrzony wciąż w słoneczną postać Gigi — wodzi za nią rozmiłowanym wzrokiem i jest jak urzeczony.

A ona, nawet nie spojrzawszy na niego, obojętna, ze zmarszczką gniewu przeciętym czołem — wychodzi wsparta na ramieniu ojca.

Jan stoi jak skamieniały, jak słup soli, w który przemieniła się żona Lotowa. I zdaje się nic nie słyszeć i nawet nic nie czuć.

Widząc wychodzących z sali balowej Strutyńskich, stary Ćwilichowski szybko zbiegł na dół, do oczekujących przyjaciół.

— Idę! — szepnął im i stanął bokiem do drzwi.

Otulona w koronki i przejrzysty, niby z pajęczych nitek utkany szal, w płaszczu na ramiona zarzuconym, śliczna madame Hedwige schodziła w to-

warzystwie ojca wolno, majestatycznie, jak królowa po schodach.

Już są w drzwiach, prowadzących na podjazd już na samym podjeździe.

...Dwóch ugalonowanych pokojowców, otworzywszy drzwiczki karocy i spuściwszy stopnie, stoi po obu bokach otworu karety. Na podjeździe dwóch służących pana marszałka Łopacińskiego — oświetla pochodniami zmrok nocy.

Nagle światła te gasną i zmrok staje się jeszcze gęstszy. Dwóch ludzi, których teraz w ciemnościach zaledwie rozróżnić można, przyskakuje do drzwiczek karety i rzuca się na piękną panią, okręcając ją jakąś derą i porywając na ręce. I prawie jednocześnie rozlega się huk strzału wypuszczonego tajemniczą ręką. Graf Strutyński z jękiem pada na stopnie karety.

Napastnicy, skonsternowani owym strzałem, wypuścili madame Hedwige z rąk i porwali za krucice, sądząc, iż to napaść. Jęk rannego i konającego już grafa dobiegł bolesnym echem do uszu córki. Szybko odrzuciła z siebie derę i podbiegła do ojca.

Porwała go na ręce, uniosła głowę skrwawioną, ale graf przewrócił tylko białkami oczu i znieruchomiał.

— Ojcze! Ojcze!

Lecz graf nie odpowiedział na to bolesne wezwanie. Wtedy pani Jadwiga, oderwawszy się od rodzica, podniosła ramiona do góry i zaczęła wzywać pomocy przyjaciół.

Napastnicy zbiegli w ciemność nocy. Kto strzelił nie dowiedziano się ani wtedy, ani potem.

Zbiegli się ludzie z sali balowej, otoczyli trupa i zawodzącą nad nim córkę, zbiegli się komiltoni frakcyjni i nawet przeciwnicy z Janem Ciechanowieckim na czele, nie rozumiejąc, co stało się u podjazdu.

XXI.

ZEMSTA FAMILII

Król jegomość August III, Mocnym zwany — zmarł, zostawiając państwo napoły nierządem już stojące. Na tron Piastów i Jagiellonów, przy pomocy ambasadora carycy i przy pomocy jej wojsk, które hulały już bezkarnie w granicach Rzeczypospolitej — zasiadł pan stolnik litewski, Stanisław August Poniatowski.

I teraz, z kolei, Familia stanęła u góry, uzbrojona we wszelkie atrybuty władzy legalnej i prawa. Frakcja radziwiłłowska została zagrożona już nietylko w swoich prawach, może często przywłaszczonych, ale nawet w swoim bycie.

Pan kanclerz Michał Czartoryski nie zapomniał odmowy księcia Panie Kochanku, danej w swoim czasie w dość ostrej formie biskupowi Massalskiemu; nie zapomniał, iż panowie białoruscy nie dotrzymali słowa, a przede wszystkim, że Ciechanowieccy byli tymi duchami wojny domowej i niepokoju, którzy w pień wycięli tylu wiernych Familii plenipotentów, z dymem puścili tyle majętności i do ostatniego tchu bronili podczas elekcji wstępu



Zdjęcie nasze przedstawia ciekawy fragment procesji podczas oktawy Bożego Ciała na Kurpiach.

panu stolnikowi litewskiemu na tron królewski.

Madame Hedwige, zabrawszy trupa ojca, zaczęła z kolei ona prezentować go różnym sądom Korony i Litwy, domagając się sądu i kary na Ciechanowieckich, bo ich to przebiegła mściwa pani śmiercią tą obarczała.

— Zabójca rodzica mojego jest Jan Ciechanowiecki — wołała lamentliwie córa Strutyńskiego — i na niego domagam się sądu i kary.

Woziła tedy trupa od sądu do sądu, pokazywała go wszędzie, wiodąc za sobą armię całą zwolenników familijnych — i wszędzie wołała o sąd, o pomsty grom na zabójcę.

— Strutyński był infamisem, na ścięcie skazanym — odpowiadali na te lamenty stronnicy radziwiłłowscy — ktokolwiek go przeto zabił, wykonał tylko wyrok trybunału i ni sądzonym, ni karanym być nie może.

Podobnie zapatrywały się na to zabójstwo i trybunały, nie okazując nadzwyczajnej gorliwości w sądzeniu i karaniu panów białoruskich.

— Przecźże jeden chociaż wyrok w mocy utrzymanym i wykonanym być powinien — dawali się głośno słyszeć niektórzy odważniejsi sędziowie. Skoro prawo głosi, iż zabójca infamisa i na śmierć skazanego wywołańca nie może być karany, jakżeż teraz owo prawo przekreślić, sprawiedliwość podeptać i panów Ciechanowieckich sądzić?

Przy takich mniemaniach trybunałów, nie mogła się pani Jadwiga spodziewać nadzwyczajnego sukcesu, pomsty na Janie Ciechanowieckim. Pochowała tedy trupa ojca i pognała co sił do Warszawy, u królewskiego swego kochanka szukać sprawiedliwości.

Trudniej jej teraz było o przystęp do króla - kochanka, ale gdy w końcu stanęła przed nim w żałobnych szatach, niby Magdalena pokutująca piękna, niby syrena kusząca swoim urokiem i wdziękiem — przyjął ją pan stolnik litewski z tą samą, co dawniej szczerość cią i radością.

— Królu mój! — zawołała, padając przed nim na kolana. — Pomstę na Ciechanowieckich mi obiecałeś, zniszczyć ich przyrzekłeś, a oni dotąd bezkarni. Do dawnych zbrodni dodali nową, naj straszniejszą, bo oto zdradziecką kulą wbrew zagwarantowanemu bezpieczeń stwu, wbrew danemu słowu JW księ ciu kanclerzowi — pozbawili życia ro dzica mego. Błagam, ulituj się nad mną, sierotę, okaż pomoc, nie pozwó aby Ciechanowieccy nadal bezkarni chodzili... Pamiętaj, że przyrzekłeś zem stę na nich...

— I dokonam jej, bądź spokojna — odrzekł na to król. — Dość nieprawość i gwałtów, dość bezkarnego hasania panów białoruskich i ich możnego pro tektora Radziwiłła. Zniszczyć każę t plemię jaszczurcze, by i pamięć p nim nie została.

Madame Hedwige pochyliła się w kornej podzięce do kolan dobremu pa nu, a on podniósł ją łagodnie, i obja ramieniem tę postać tak piękną i tyl kochaną.

Noc tę, pierwszą w swej nowej r li króla, spędził wytworny król Sta nisław August w ramionach niemnic wytwornej kochanki. Umarł pan stolni litewski, a narodził się król, a ten niec żyje.

Od tego dnia miało minąć wiele dn i wiele nocy, w których piękna mada me Hedwige rozpraszała smutki i tros ki swego królewskiego kochanka, ni przestając przypominać mu obietnicy pomście na Ciechanowieckich. Ale zbęd nym było owo przypominanie, bo Fam lia i jej królewski członek sami dosko nale o niej pamiętali.

Tymczasem w Nieświeżu zgromadził się mnóstwo popleczników radziwiłłow skich, wśród których znajdowali si



Jakże beztroskie i szczęśliwe są chwile dzieciństwa!...

również Stanisław i Michał Ciechanowieccy. I wszyscy nasłuchiwali wieści z Warszawy, nie na próżno spodziewając się gromu, który miał uderzyć, już nie tylko w samych panów białoruskich, ale w całą frakcję radziwiłłowską.

Książę Panie Kochanku nie bardzo jednak chciał wierzyć, ażeby Familia odważyła się próbować swojej zemsty na nim w sposób każdy, któryby jeno do skutku prowadził.

— Uważcie waszmościowie, panie kochanku — powtarzał nieraz w gronie swoich przyjaciół — iż chyba pan stolnik litewski nie zechce podeptać praw i sprawiedliwości, byle jeno swojej miłośnicy dogodzić.

— Któż to wiedzieć może, wasza ks. mość — odpowiadali lękliwsi — do czego ten przechera moskiewski może się posunąć w swojej zawziętości. Taki homo novus, gdy się do władzy dorwie, łatwo może głowę stracić.

— Notabene, panie kochanku, o ile miał on ją kiedykolwiek. Do amorów jest on stworzony, jak żaden drugi, ale co już do rządzenia, darujcie, nie może on mieć żadnej głowy. Dość mu, i to da mu całkowite szczęście, gdy jej carska mość pozwoli mu amorami się zabawiać, póki zdrowie i wigor służyć będą.

— Dalibóg, toż to hańba nad hańby, aby taką piękną nacją, jako jest nasza, rządził taki rex amoris — wtrącił generał Ciechanowiecki.

— Obaczysz, mości generale, jeszcze większą hańbę, której obyśmy lepiej nie dożyli!

Pospuszczali wszyscy smętnie głowy, myśląc o tej zamglonej i tajemniczej przyszłości, która szła ku nim, jak groźna burza, której bicie piorunów teraz już było słychać.

W równie ponurym nastroju znajdował się i pan starosta opeski, który zaszył się w swojej Opsie i znowu, jak tylekroć przedtem, rozpamiętywał swoją dolę. Ale już teraz nie miał on żadnej nadziei na pogodzenie się z żoną. Kula niezdarnych pomocników, bo ich o to podejrzewał, przecinając nić życia grafa Strutyńskiego, przecięła i tę wątłą nadzieję, którą żył dotąd. Dla niego wszystko już dotąd było skończone; wiedział, że przeszłość nie wróci, jak nie wraca rzeka do swojego źródła. Więc był zrezygnowany, może jeszcze bardziej smutny, niż kiedykolwiek przedtem. Wszystko skończone i nie warto już marzyć i nie warto myśleć nawet. Zdawało się, że nic już nie ma takiego na świecie, coby go z tego bezwładu wyrwać mogło. Ani sprawy krajowe, gdy zmęczyła go już bardzo tęsknica i owo bezprzestanne wzdychanie, przywoływał do siebie starego, wiernego Brezę i z nim długie prowadził rozmowy o dawnych czasach i dawnych dziejach. Stary sługa próbował nieraz pana rozweselić, rozerwać, natchnąć nadzieją jaśniejszej doli, lepszej przyszłości.

— A bo też wasza miłość jako ten mnich żyjesz — mawiał stary — a tu życie śmieje się do waszej miłości. Da Bóg, odmieni się jeszcze to wszystko, przyjdzie rozwód, wasza miłość pojmiesz znowu małżonkę młodą i szczęśliwą i radość znowu do naszego domu zawita, tyle szczęśliwego dawniej.

Ale starosta kiwał tylko smętnie i melancholicznie głową i myślał o tym, że jedna ona na świecie zazula, jedna jedyna, z którą mógłby być szczęśliwym, gdyby ona inną była, gdyby była inną...

— Niech wasza miłość nie myśli o... tamtej — wpadał mu w tok rozważań stary Breza, ona nie godna waszej miłości.

— Może i masz rację, stary — odrzekł ze smutkiem pan Jan — ale czy wiesz, że gdyby ona dzisiaj tu przyszła, to ja, nie bacząc na wszystko, co było — przyjąłbym ją i wszystko przebaczył... Byle jeno przyszła, byle jeno przyjść zechciała...

— Pewnie... — wasza miłość uczyniłbyś tak, jako wola twoja, ale... po co mówić takie rzeczy i o nich myśleć, gdy się to żadną miarą stać nie może, bo — ona do waszej miłości nie wróci.

— Powiadasz, stary?...

— Tak suponuję... Już ona tam teraz na pałacach królewskich do gruntu odmienić się musiała, już by jej nasza skromna strawa opeska, po królewskich frykasach — nie mogła smakować.

— Pewnie, że nie smakowałaby... Ale przecie i tu moglibyśmy dać jej one królewskie frykasy.

— Moglibyśmy, wasza miłość, i jeszcze jak mogli, ale po co o tym myśleć, gdy ona niewierna nie wróci do nas...

— Nie wróci... — powtórzył pan Jan i melancholicznie wsparł głowę na dłoni i zadumał się. Długo tak trwał w tej pozycji, aż zmierzch już schodził na ziemię i stawało się coraz mroczniej. Wtedy do uszu starosty dobiegło gdzieś z oddali radosne skomlenie ulubionej jego suki „Diany", która kogoś znajomego witała. Stary Breza powstał i cichutko, na palcach, aby panu dumań nie przerywać, poszedł ku drzwiom.

— A co tam, Breza? — podniósł głowę starosta.

— Gość pewnie jakowyś przybył, wasza miłość.

— Toż turkotu wozu wcale słychać nie było.

— A nie było, wasza miłość. Pójdę zobaczyć, kto to być może.

Stary Breza wyszedł, a w następnej chwili starosta zapomniał już o owym przybyszu i pogrążył się w słodkich dumaniach o niewiernej.

Z zadumy zbudziły go głosy ludzkie i kroki zbliżające się do jego samotni. W pewnej chwili drzwi się otwarły i w progu stanęła postać ludzka. Starosta podniósł głowę i spytał:

— Kto to?

— Janie, ratuj się! — zawołał Michał Ciechanowiecki.

Poznał starosta głos brata i podniósł się z siedzenia.

— Bywaj, Michale! — wyciągnął do niego rękę.

— Ratuj się, Janie! — powtórzył Michał. — Ratuj się, jeśli ci zdrowie i życie miłe.

— Ratować się? Przed czym?

— Jak to? Więc ty nic nie wiesz, nieszczęsny? Zaliż nie wiadomo ci, że nad głowami naszymi zawieszono miecz katowski pomsty miłośnicy stolnika litewskiego?

— Nic nie wiem — odrzekł spokojnie starosta.

— Przebóg! Toż jeno patrzeć, jak wpadną tu siepacze, aby cię porwać pod miecz katowski. Masz — czytaj!

Jan wziął papier z ręki brata, a kazawszy rozjaśnić świece staremu Berezie w komnacie, rzucił okiem na papier, w pierwszej chwili doznał uczucia, jakby go ktoś nagle obuszkiem o ziemię zajechał. Przeczytał raz i drugi, zmiął papier w rękach i wsparł się na stole. W głowie to wszystko pomieścić mu się nie mogło.

— No cóż — czy wiesz teraz, dlaczego każę ci się ratować? Pojmujesz, jaki wpływ na pana stolnika litewskiego mieć musi córka Strutyńskiego, skoro, wbrew wszelkiej sprawiedliwości boskiej i ludzkiej, trybunały skazały nas wszystkich, wyjąwszy Józefa, na infamię, ścięcie mieczem i konfiskatę majętności? C. d. n.

ADAM NASIELSKI

7)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

— Trzymaj pan ten nóż, chociaż dzisiejsi przestępcy zupełnie nie źle orientują się w antropometrii i rzadko zostawiają wizytówki w postaci odcisków naskórka palców. Nie ma głupich. Nie ma mądrych. Nudy są, owszem.

Oświetlił latarką gałki oczne, potem zbadał stopień odtłuszczenia skóry, stwardnienie tkanek stalowym młoteczkiem opukał kości czaszki i wstał.

— Skończone. Protokół jutro, po sekcji. Drab ma twardą czaszkę i piłowanie wcale mi się nie uśmiecha. Pan oczywiście zatrzymuje ciało zgodnie ze swoją metodą.

— Tym razem nie. Można je zabrać do kostnicy.

— Patrzcie. Żbik staje się oryginalny. Życzę powodzenia i moje uszanowanie.

Podał pulchną dłoń inspektorowi i ujął za klamkę, aby stanąć oko w oko z rzeczoznawcą daktyloskopii Centralnej Służby Śledczej, nadkomisarzem doktorem Edwardem Luksem.

— Dobrywieczór. Jak widzę cały sztab w komplecie. Na dole Wielgus et consortes. Na górze wy. Znów wielka gra.

— Nie, nadkomisarzu. Ptaszek został ujęty tak, że aż przykro. Nie chce się jednak przyznać i musimy mu to udowodnić. Uparty człowiek.

Rzeczoznawca skinął głową. W przeciwstawieniu do jowialnego lekarza nie spieszył się nigdy, choć miał więcej czasu od niego. Odłożył rękawiczki i kapelusz. Przywitał się z kolegami i spojrzał chłodno na martwe ciało bankiera.

— Erazm Stokowski. Nie miał kompletnie czystej opinii, ale pokrywał luki złotem. Błędne koło. Zemsta?

Bernard Żbik do którego zwrócone były to pytanie, otrząsnął się z zadumy.

— Zobaczymy wkrótce. Chciałbym, aby pan obejrzał ten sztylet. Aspirant odebrał już chyba odciski daktyloskopów od oskarżonego, o ile ja znam Adasia.

— Kim jest oskarżony?

— Jerzy Makarski. Sekretarz zamordowanego i coś w rodzaju kochanka jego córki. Dziwny człowiek. Zagadka psychologiczna.

Ekspert wziął w rękę nóż za ostrze i przez lupę obejrzał trzon rękojeści.

— Oryginalna egipska robota. Znam się trochę na tym. Jakiś znajomy mi bożek. Zaraz...

— Ozyrys — wyjaśnił inspektor. Jedyny niewytłumaczony punkt całej tajemnicy.

Czekał cierpliwie, przypatrując się czynnościom nadkomisarza który przy pomocy niklowego rozpylacza pokrył rączkę sztyletu cienką warstwą węglanu ołowiu, potem szczotką z wielbłądziej sierści począł delikatnie usuwać powierzchnię. Z pod warstwy proszku uwidoczniły się trzy wyraźne ślady odcisków palców.

— Ślady mam. Piękne i wyraźne.

Żbik oddalił się na krótko i wrócił w towarzystwie aspiranta.

— Wziąłeś od niego odbitki palców, Adasiu.

— Skąd wiesz!?

— Widziałem, jak zabierałeś teczkę a ponieważ od pół roku entuzajzmujesz się daktyloskopią...

— Wystarczy. — Oczy Bilewskiego wyrażały zachwyt. — Oto dziesięć odbitek. Ciekaw jestem jak się spodobają memu nauczycielowi i mistrzowi.

— Zupełnie dobre, aspirancie — odparł Luchs z przyjemnością, podszedł na środek pokoju, gdzie światło było najsilniejsze i porównał starannie.

— Jak?

Poważny ruch głowy eksperta i niedwuznaczne spojrzenie wystarczyło Żbikowi i Adamowi dla zorientowania się w rzeczywistości.

— Jeszcze przed eksperta szczegółowo mogę stwierdzić, że trzy odciski palców: kciuka, środkowego i wskazującego — na sztylecie są identyczne z odciskami daktyloskopów które otrzymałem od aspiranta.

Inspektor, który dotychczas chciał mieć wątpliwości był tym zdecydowanym orzeczeniem eksperta nieco oszołomiony.

— Niezadowolony? — spytał Luchs lakonicznie.

— Nie o to chodzi. Dlaczego on się nie przyznaje, do licha.

— Zbyteczne, panie naczelniku. — Nadkomisarz Luchs wpadł w ton fachowo-mentorski, jakby miał oznajmić coś nowego — Dowód z odcisków palców jest w obecnym stanie nauk kryminologicznych uznany za nieodparty... — urwał skonsternowany, albowiem przypomniał sobie że nie mówi do laików. — Hm. tak — chrząknął — panie aspirancie.

Ujrzał jednak uśmiechnięte oczy Żbika i omal się nie zarumienił.

— Głupstwa gadam, prawda, panie naczelniku.

Odpowiedź inspektora nie miała nic wspólnego z zapytaniem.

— Ten Jerzy Makarski jest: albo piekielnie wyrafinowany wariat. Przecież w czasie ponad kwadrans miał okazję wyrzucić klucz, zetrzeć odciski palców ze sztyletu, nawet wyrzucić sztylet, ba, symulować napad na siebie samego przez zranienie się tymże samym sztyletem.

— Nie każdy morderca jest takim mądrym zbrodniarzem jak pan — detektywem, inspektorze. Zamiast rozpatrywania teorii, proponuję przeprowadzić oględziny tego pokoju, przy których mogę być ewentualnie potrzebny. Mam dziś jeszcze ważną robotę w laboratorium.

Bernard Żbik postanowił dostosować się do rady nadkomisarza i poprosił go o pomoc. Trzej oficerowie policji przeszukali pokój zbrodni według wszelkich prawideł sztuki śledczej. Każdy kąt, każdą szufladę i nawet nie zaniedbali odsunąć dywan, na którym stało biurko Nie znaleźli nic, coby wskazywało na konkretny ślad. Poco zresztą...

Także wśród papierów na biurku zmarłego nie wykryli nic specjalnego. Gazeta popołudniowa, dwa listy prywatne o nieważnej treści, przyprzygotowane do przepisania na maszynie, jak wskazywała notatka, dowodzące wszelako, że Erazm Stokowski nie spodziewał się tak rychłej śmierci: w przeciwnym razie nie umawiałby się przecież na bridge'a ze znajomymi. Poza tym arkusz papieru ze wskazówką na górze: Do przepisania.

Aspirant Bilewski odczytał mimowoli, nim wręczył kartkę inspektorowi:

„Warunki: Handel hurtowy parytet Londyn, ładunki wagonowe, dostawa bieżąca za 100 skrzyń brutto. Notowanie z dnia 23 listopada 1936. Ewentualność doświadczeń waloryzacyjnych albo rozliczeń dekadowych daje okazię wglądu na aktualny rozwój. Monitować ostatnie rozrachunki dotyczące eksportu rynsztunku contra Abisynia."

— Jakieś giełdowe kombinacje, Bernardzie.

— Tak mi się wydaje. W każdym razie załącz je do protokółu. Zbadam potem dokładnie.

Dla spokoju sumienia obejrzał od niechcenia kartkę pod światło i odwrócił ją natychmiast. Gorączkowo przebiegł oczyma po wypisanych na niej ołówkiem, ledwo widocznych słów:

„Doręczyć Jerzemu Makarskiemu — w sprawie „Ozyrysa"!!!

— Ozyrysa — powtórzył inspektor cicho. — I to słowo wypisane było w tym samym zdaniu, co nazwisko mordercy, który nie chciał się przyznać. Czyż trzeba lepszego wskazania na łączność Wszystko zaczynało się wiązać... Bernard Żbik był tak zajęty własnemi myślami, że w pierwszej chwili nie dosłyszał słów nadkomisarza i ten musiał je powtórzyć:

— Naczelniku, powiedział pan przedtem, że Ozyrys to jedyny niejasny punkt w całej tajemnicy. Teraz zdobędzie się pan prowdopodobnie na wyjaśnienie. Czemu smucić się. Sprawa jest jasna, jak wschód.

— Otóż to! — inspektor usiadł na kancie biurka. — Za jasne, psiakrew! Jerzy Makarski nie wygląda na idiotę, a postępuje dotąd jak wariat. Zostawia trzy wyraźne odciski palców, zamyka się ze swą ofiarą na klucz, chowa nonszalancko do własnej kieszeni, zamiast go wyrzucić. I przytem śmie twierdzić, że nie zabił. Ba, nawet z początku drwi i kpi. To są dla mnie fakty niezrozumiałe.

— Mógł dostać ataku nerwowego bezpośrednio po czynie i zasnął, jak sam twierdzi częściowo. Znamy przecież w kryminalistyce wypadki utraty świadomości u mordercy. Możliwe, że atak Makarskiego trwa dotychczas.

— Myślę również o tej ewentualności i mam zamiar zasięgnąć opinii psychjatry. Tylko wstrząs tłumaczyłby te anomalia w zachowaniu się mordercy... Pomówię teraz z Janiną Stokowską. Chcę wyjaśnić sprawę Ozyrysa.

— A Makarski? — wtrącił aspirant.

— Niech zaczeka. Może się w międzyczasie rozmyśli.

IX.

Szablon

Siódma za dziesięć.

Pokój zbrodni był pusty po wyniesieniu zeń ciała zabitego. A jednak wyraz twarzy jego córki, którą wprowadził aspirant był taki, jakby wciąż patrzyła na zwłoki zamordowanego ojca, chociaż te zostały przed pięcioma minutami odwiezione do prosektorium, gabinet uporządkowany i nic nie wskazywało na to, co zaszło tu przed niedawnym czasem.

Jania Stokowska była piękną kobietą. I dziwną, co okazało się wkrótce. Zajęła miejsce na wskazanym sobie wyścielanym krześle i w milczeniu czekała na rozwój wydarzeń. Wyglądała zupełnie apatycznie, oczy patrzały nieruchomo przed siebie, usta zacięte zdawały się strzec jakieś tajemnicy czy żalu niedopowiedzianego.

Bernard Żbik pisał coś wiecznym piórem w swoim safianowym notesie i nie odezwał się na razie ani słowem. Niezwykłe to było śledztwo, inne od dotychczasowych. Nie chodziło w tej chwili o wykrycie nieznanego, raczej o wyświetlenie niejasności, o konsolidację kompletu śladów niezawsze przecież odkrywanych w logicznym porządku chronologii wydarzeń. Właściwie dla Janiny Stokowskiej przygotował tylko jedno pytanie — ale nie wolno wprost i nie odrazu. Musiał pamiętać, że ta piękna kobieta kocha mordercę. Kocha — w tym słowie streszcza się niekiedy wszystko, czasami nic, bo jedynie jedno wielkie genialne wyrafinowane kłamstwo i psychoza.

— Erazm Stokowski został zamordowany. Czy istnieje osoba, którą pani posądza, lub chciałaby posądzić o dokonanie tej zbrodni.

Spodziewał się odpowiedzi gwałtownej bez względu na treść — łez wzruszenia bodaj — lecz zawiódł się. Nic takiego — przyjęła okrutne słowa spokojnie i nawet chłodno, ostentacyjnie

— O tą zbrodnię mogą być podejrzani tysiące ludzi, których ojciec mój Erazm Stokowski skrzywdził i po których nieszczęściu doszedł do majątku i kariery.

Mocno powiedziane. Niespodzianka. Tym większa — wobec zachowania się w pierwszej chwili po ujrzeniu trupa.

— Pół godziny przedtem zareagowała pani zupełnie inaczej.

— Wcale nie. Nazwałam... — Erazma Stokowskiego: „biednym". Mogę to powtórzyć.

Założyła jedną nogę na drugą, ukazując ładnie toczone kolano obciągnięte świetnie przylegającą matową jedwabną pończochą. Otworzyła torebkę i sięgnęła po papierosa. Ale nie znała inspektora Bernarda Żbika. Zbliżył się do niej bez wahania. Energicznie trącona srebrna cygaretka wyleciała zgrabnym łukiem na dywan, a papieros poszedł w ślad za nią.

— Co pani sobie myśli. Jestem tu od tego, żeby wykryć prawdę, a nie aby służyć za odskocznię do ekstrawagancyj, histerii i zgrywania się głupiej smarkatki. Proszę odpowiadać po ludzku, krótko, i wyraźnie na pytania. Jeżeli zechce pani w dalszym ciągu zachowywać się w ten sposób gotów jestem zastosować wszystkie dozwolone środki celem utemperowania.

Iskra gniewu odbiła się od jego twardego spojrzenia niczem przysłowiony groch o ścianę. Rumieniec na policzkach Janiny Stokowskiej był silny i nagły. Lecz skutek przemówienia detektywa był przecież nieoczekiwany.

— Więc co! Czy fakt zamordowania Erazma Stokowskiego ma być podstawą do grzebania ludzi obcych w moich najintymniejszych i najbardziej skrytych zakamarkach duszy. Czy mam kłaniać i zgrywać się — właśnie zgrywać się — aby idiotyczny dziennikarz miał temat i sposobność do roztkliwiania się nad sprawą, która go tyle wzrusza co mnie to morderstwo. Mam mówić — prawdę?...

— Tylko.

— Dobrze: Zadowolona jestem ze śmierci Erazma Stokowskiego. Był tyranem i twardym dyktatorem pieniędzy. Życie było dlań jedną wielką operacją finansową, mającą na celu danie mu władzy i potęgi. Gnębił ludzi, dławił ich, dusił, uśmiechając się słodko, o jakże słodko i... fałszywie. Był dobry, kiedy to dlań było wygodne i bezlitosny, gdy chodziło o jego korzyść. Czy można się dziwić, że wreszcie iskra gniewu i ambicja wcisnęła nóż w dłoń jednego z wielu gnębionych płazów i — zabił.

— Kto?

— Każdy z tych, którzy codziennie odchodzili żegnani uśmiechem i z boleścią w sercu, skazani na zagładę przez jego pieniądze. A on przecież powinien był ich rozumieć. Też on przed dwoma niespełna laty był tym czym inni. Zwykłym kupcem, urzędniczyną — a potem ta zagadkowa podróż do Egiptu i... dyrektor Banku Południowego. Figura, potęga, chlebodawca, — żmija, nic więcej, tylko żmija.

Wymówiła ostatnie słowo ze zgrzytem zębów. Niemal wypluwała je. Inspektor był obserwatorem i psychologiem. W steku histerycznych babskich głupstw, podyktowanych gdzieindziej

napewno ugruntowaną nienawiścią — wyłowił jeden szczegół, mogący mieć znaczenie.

— O zmarłym nie wolno tak mówić.

— Ha! Bo umarł? Czy dlatego stał się lepszy, wyidealizował się, wypiękniał etycznie? Wcale nie. Gdyby żył byłby tym samym katem ludzi, tą samą słodko uśmiechającą się salamandrą, takim jak dotąd kameleonem uczuciowym, przybierającym odpowiednią barwę dla każdej sytuacji.

— Na litość boską, to przecież był pani ojciec!

— Nazwałam go tak przedtem — tylko z przyzwyczajenia. Forma. Nie, mój panie. Ja nie nazywam się Stokowska, przynajmniej faktycznie. I nic mnie nie łączyło z tym człowiekiem tylko dlatego, że mojej matce spodobało się sprzedać Erazmowi Stokowskiemu za Packarda, willę, jacht i chinchille. O, nie.

Zaczynam rozumieć, domyślać się, wnikać w tło.

— To może być ważne dla śledztwa. Reszta, pani ostentacyjne jeremiady w obronie uciśnionych, gnębionych biedaków — zwykły bliff. Jest pani ubrana nietylko elegancko, ale i drogo. Futro, jedwabie, najlepsze perfumy... Pracuje pani zarobkowo?

— Nie. Jestem dziennikarką-praktykantką.

— No to jesteśmy w domu. Rozumiem... Lecz bierze pani pieniędze od ojca i udaje przede mną heroinę i obrońcę nieszczęśliwych. Ten numer nie przeszedł, panno Janino.

Zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem, w którym dojrzał wszystko oprócz prawdziwej inteligencji.

— Długo jeszcze będę torturowana.

— Nie mogę dokładnie określić — uśmiechnął się detektyw-psycholog. W każdym razie musi mi pani wyjaśnić jeszcze kilka wątpliwych naświetleń.

— Musi.

— Tak, musi. Jerzy Makarski, wedle pani własnych słów groził pani ojcu zabójstwem, jak się domyślam. Poza tym wiem, że w zeszłym tygodniu Makarski oświadczył pani, że zabiłby człowieka, któryby stanął na drodze waszemu związkowi małżeńskiemu. Krótko, kim był rywal?

Odpowiedź Janiny była wyraźna, conajmniej zdecydowana:

— Nie wiem.

— Jaśniej i dokładniej, proszę.

— Ojciec zapytał mnie raz mimochodem, czy nie mam ochoty wyjść za mąż i wspomniał, że ma upatrzonego kandydata. Kupno — sprzedaż, po bankiersku. Odmówiłam, bo kocham Jerzego Makarskiego.

— Wątpię, czy pani zdolna jest do uczucia, zwanego miłością, po to trzeba być mniej próżną. Myślę, że Makarski raczej panią bawił. A propos — jak pani przypuszcza, czy Jerzemu Makarskiemu chodziło w tym wypadku o posag Janiny Stokowskiej, czy też był rzeczywiście... zaangażowany uczuciowo.

— Jak pan śmie!

— Śmiem i zdaje się, że dobrze się domyślam, czego znów nie można mieć Makarskiemu za złe. Dziś są takie drańskie materialistyczne czasy.

— Nie chcę wysłuchiwać morałów, panie inspektorze. Proszę mnie od tego uwolnić.

— Przesłuchanie potrwa tak długo, jak będzie potrzeba. Muszę wyjaśnić mnóstwo okoliczności. Kim był kandydat upatrzony przez pani ojca?

— Nie wiem i nie interesowało mnie to. Byłam zgóry zdecydowana na odmowę w tym wypadku.

— Czy pani rzeczywiście nie wie, czy też nie chce lub wstydzi się powiedzieć.

Panna zacięła się i próbowała udawać obrażoną, inspektor Żbik nie zważał jednak na to. Uznał, że na razie sprawa jest wyczerpana na tym punkcie.

— Słyszała pani coś o Ozyrysie.

— Nie.

Nie było wykluczone i nie mogło być, że w tej chwili kłamała. Można to było wnioskować nawet z krótkości odpowiedzi. Poza tym:

— Pani przecież wyraźnie kłamie. Ja pytałem o Ozyrysa w ogóle, a pani studiuje na wyższej uczelni. Z tego wniosek, że o Ozyrysie musiała pani słyszeć. I dalszy wniosek, że pani wie, o jakiego Ozyrysa mi chodzi.

Zbladła.

— Nic nie wiem.

— Pogadamy jeszcze o tym. — Z tymi słowy polecił odprowadzić Janinę Stokowską do oddzielnego pokoju. Nie zwalniać, będzie jeszcze potrzebna.

Było już pół do ósmej, a on nic właściwie jeszcze nie zdziałał. Ozyrys wciąż pozostawał tajemnicą. Chociaż, co tu ostatecznie było do roboty: wypełnić nakaz aresztowania na nazwisko Jerzego Makarskiego, powiadomić sędziego śledczego i prokuratora i pójść sobie, bodaj na spacer lub do kina.

Wciąż jednak nie mógł się oprzeć intuicyjnemu przeświadczeniu, że w tej zagadkowej sprawie jeszcze nie wszystko jest zakończone. Były punkty kompletnie niewyjaśnione, pomimo zatrzymania mordercy prawie na gorącym uczynku. Punkty te, to:

a) Nowela Leraulta
b) posążek Ozyrysa
c) dziwne zachowanie się mordercy
d) i czemu Janina Stokowska skłamała zapytana o Ozyrysa.

Ozyrys! Tu tkiło sedno zagadki i z chwilą wyjaśnienia tego punktu sprawa nie będzie przedstawiała żadnych trudności. Ale kogo zaindagować, gdzie i co szukać, jak wyjaśnić — w tym rzecz. A czas pędzi na złamanie karku i oni, śledztwo, nie posunęli się ani na krok naprzód. Nic właściwie nie zdziałali oprócz szablonu. Zatrzymanie obecnych w terenie, zbadanie ciała, fotografia, oględziny, rewizja, daktyloskopia — to potrafi każdy przodownik. Ba, musi potrafić, inaczej marne jego widoki.

Na przykład taka zagadka: Jeżeli Stokowski wiedział, że Makarski ma zamiar z jakichś powodów zamordować go, to czemu nie uwiadomił o tym policji i co stało na przeszkodzie. To jeden punkt z wielu, a ile jest innych. Czego Stokowski się obawiał...

Ciemno, psiakrew! mglisto, wszędzie i bez przerwy. Bernard Żbik wyjął notes, ot tak, dla fasonu, trzeba przecież coś robić — i zapisał w nim kilka uwag. Usiłował się skupić — bo sprawa była zwariowana, coś nie przystawało, zahaczało, jakieś ziarenko tajemnicy zaszpuntowało cały mechanizm zagadki i ani rusz. Spojrzał na listę osób, ktorą — jak zwykle — sporządził sobie dla ułatwienia:

A) Czas: — chwila zbrodni — telefon. B) Teren: — gmach banku — zamknięty. C) Osoby: 1) Edward Downar i Bernard Żbik w gabinecie tego pierwszego — na trzecim piętrze. 2) Erazm Stokowski i Jerzy Makarski w gabinecie — na pierwszym piętrze. Pokój zamknięty i klucz w kieszeni mordercy. 3) Woźny Franciszek Lipiński w swej dyżurce — na parterze. Tylko trzy osoby wchodzą w grę — bo jedna już nie żyje, a druga to kierujący śledztwem. Więcej żadnych osób w gmachu niema, co wykazała rewizja. C. d. n.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 13 czerwca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Liskowa (nabożeństwo i reportaż) 11.30 „Piękne głosy" (płyty) 12.03 „Uroda lasu w muzyce" — koncert 13.10 Koncert rozrywkowy (z Poznania) 15.00 Audycja dla wsi 16.00 „Dzień pieśni" (z Leszna przez Poznań) 16.30 „Nowe płyty słynnych artystów" 17.00 „Jak rozbójnik Smaś pojednał się z Panem Bogiem" — słuchowisko 18.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" 20.00 „Walce Straussa w wyk. wielkich orkiestr symf." (płyty) 21.00 Wesoła audycja (ze Lwowa) 22.00 Koncert solistów (z Torunia).

Poniedziałek, dnia 14 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.50 Audycja dla szkół 12.15 „Wycieczki i rozrywki" — pogadanka 12.25 Orkiestra wojskowa (z Poznania) 16.00 „Najnowsze wynalazki": „U profesora „Milion atmosfer" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Koncert rozrywkowy 16.45 „500 lat polskiej gościnności" — felieton 17.00 Koncert Chóru „Lutnia" 17.25 Dwufortepianowa muzyka francuska 17.50 „Cieszynianka" — pogadanka przyrodnicza 18.15 „Humoreski — intermezza — groteski" — (płyty) 19.00 Audycja strzelecka 19.40 „Pływanie — potrzebą życia codziennego" — pogadanka 20.00 Koncert rozrywkowy 21.45 „Ta trzecia" — humoreska 22.00 Koncert wieczorny.

Wtorek, dnia 15 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Orkiestra rozrywkowa (z Łodzi) 16.00 „Podwieczorek pod lipą" — audycja dla dzieci 16.20 „Żołnierze śpiewają" — audycja z Torunia 17.00 „Festyn na dworze Walezyusza" 18.15 Melodie filmowe (płyty) 19.00 „Zemsta" — skecz 19.15 Muzyka lekka 19.45 „Książę Igor" — transmisja z Królewskiej Opery w Londynie „Covent Garden" 22.25 „Ta trzecia" — humoreska (cz. II) 22.40 Muzyka (płyty).

Środa, dnia 16 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Orkiestra mandolinistów 16.00 „Z mojego warsztatu" — Kornel Makuszyński 16.15 Muzyka salonowa 16.45 „Przysposobienie wojskowe w liceach" — odczyt 17.00 Utwory wiolonczelowe 17.20 Recital śpiewaczy Arno Nitofa (baryton) 17.50 „Promienie kosmiczne" — pogadanka 18.15 Wiedeński Kwartet Schrammla (płyty) 19.00 „Słynni dyrygenci": „Henryk Wood" — 9 audycja 20.00 „Wesoły festival — lekki koncert 21.45 „Ta trzecia" — humoreska (cz. III). 22.00 Muzyka lekka i taneczna.

Czwartek, dnia 17 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.15 „Jak budować na wsi" — pogadanka 12.25 Polska muzyka popularna 16.00 „Czterdzieści z kreskami" — opowiadanie dla dzieci 16.15 Wiązanka melodii operetkowych (płyty) 17.00 Koncert solistów 18.15 Pieśniarze murzyńscy i Orkiestra Maria Harp Lorenzi (płyty) 19.00 „Pociąg zbłąkany" — premiera słuchowiska 20.00 Koncert rozrywkowy 12.05 Muzyka taneczna 21.45 „Ta trzecia" — humoreska (dokończenie) 22.30 Edward Grieg; Sonata G-Dur op. 13.

Piątek, dnia 18 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Muzyka lekka 16.15 „Karol Szymanowski na Podhalu" — audycja słowno-muzyczna 16.45 „Z Zagłębia Naftowego": „Człowiek nafty" — reportaż 17.00 Utwory Jana Brahmsa 18.15 Tito Schipa śpiewa piosenki (płyty) 19.00 Płyty dla znawców 20.10 Lekki koncert rozrywkowy 21.45 „Warszawa w poezji" — kwadrans poetycki 22.00 Koncert kameralny. W programie muzyka włoska.

Sobota, dnia 19 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 16.00 Słuchowisko dla dzieci: „Baśń o kapryśnej królewnie i sprytnym szewczyku" 16.30 Tańce koncertowe 17.20 Męski chór ukraiński im. Lysenki 18.15 Wiązanki jazzowe (płyty) 19.00 Zespół Stefana Rachonia 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.05 Z różnych stron świata — w wyk. Ork. Marynarki Wojennej 21.45 Nowości literackie 22.00 Koncert wieczorny.

HUMOR

STYL NAPOLEOŃSKI

Karol Garnier, twórca gmachu Opery paryskiej, zjawił się z planami w pałacu cesarskim. Napoleon III, który finansował budowę, był nieobecny. Znakomitego architekta przyjęła cesarzowa Eugenia.

Niestety, projekt gmachu nie podobał się cesarzowej.

— Cóż to za styl? — rzekła — nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

— Wasza cesarska mość wybaczy — odciął się architekt — jest to gmach w stylu Napoleona III.

To poskutkowało. Eugenia dała się przekonać i dziś Opera jest charakterystyczną ozdobą stolicy Francji.

NIE ZROZUMIAŁA

— Maryniu, kakao ma dziwny smak, mówiłam ci przecież, żebyś je zaparzyła gorącą wodą, jak kawę.

— Ja też tak zrobiłam proszę pani ale może za dużo włożyłam cykorii.

NIKT ICH NIE POZNAŁ

Dyktator finansowy Rzeszy Niemieckiej, pan doktór Schacht opowiada w towarzystwie przyjaciół:

— Wyobraźcie sobie, że przed kilku dniami byłem w restauracji hotelu Adlon z Goeringiem i z Goebbelsem. Zjedliśmy kolację na sali ogólnej i nikt nas nie poznał. Ani kelnerzy ani nawet zarządzający.

— Jakże to się stało! — wołają zdumieni słuchacze. — To nie do wiary.

— Jak się stało? Zwyczajnie. Goering był w ubraniu marynarkowym, Goebbles przez cały czas nie puścił pary z ust, a ja zapłaciłem rachunek gotówką.

PROROK

W pewnym towarzystwie rozmawiano na temat niezwykłego daru przepowiadania przyszłości.

Każdy z uczestników opowiadał o jakimś znanym mu wypadku.

Wreszcie przyszła kolej na pana Szapirsztejna, który opowiedział taką historyjkę:

— Mój brat był wielkim jasnowidzem. Naprzykład, wiedział dokładnie kiedy umrze, gdzie i o jakiej godzinie, a nawet w jaki sposób. I to wszystko sprawdziło się co do joty!

— Fenomenalne! Ale skąd on mógł to wszystko wiedzieć?

— Co znaczy skąd? Powiedzieli mu to na sądzie doraźnym.

TO MÓWI MIŁOŚĆ

Beznadziejnie zakochał się Kostek w nadobnej Florentynie, ale cóż — panna, jak to panna, kawalera za nos wodzi, pewności żadnej mu nie daje, niestałością dręczy i fochy przeróżne stroi.

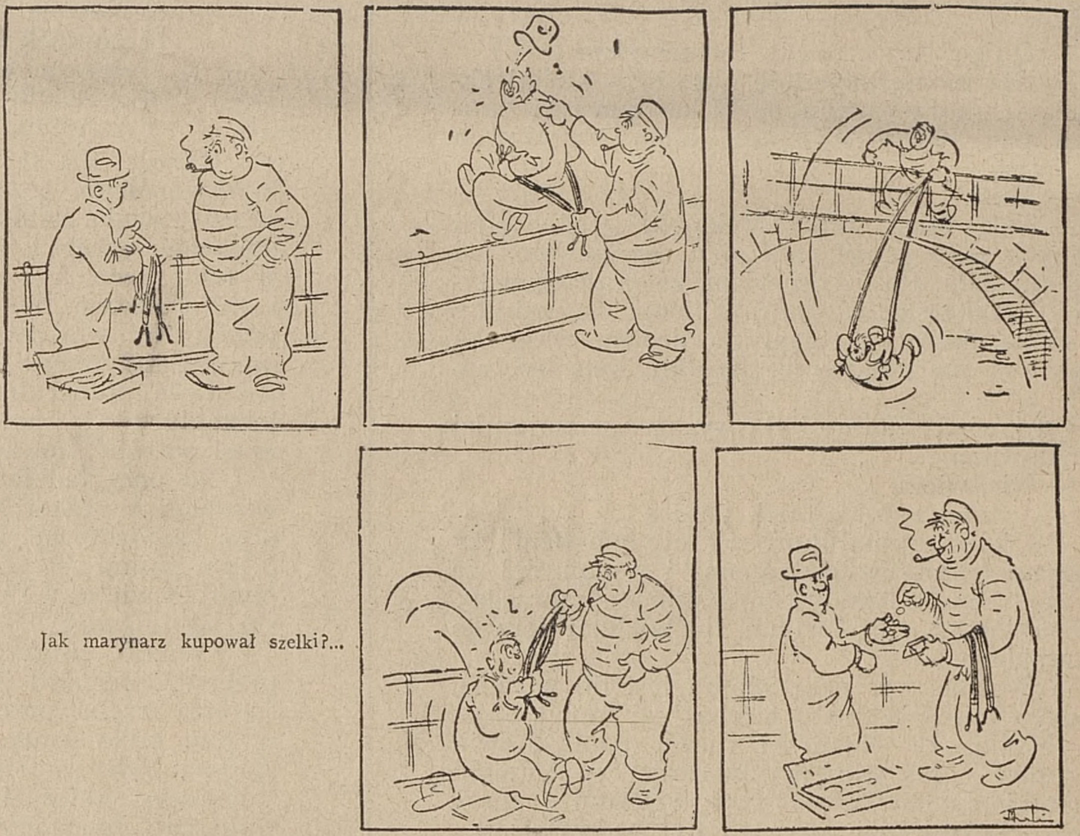
— Ach, — wzdycha rozmiłowany młodzieniec — gdybym był tobą, Florencjo, to nie mógłbym żyć beze mnie!....

ODPOWIEDŹ CHIŃSKIEGO POSŁA

Chiński poseł w Waszyngtonie siedział kiedyś na bankiecie obok młodej i pięknej, lecz niezbyt taktownej Amerykanki. Podczas rozmowy młoda dama zapytała czemu chińska flaga ozdobiona jest smokiem, który jest przecież legendarnym zwierzęciem, nikomu nieznanym.

— A może pan widział już kiedyś smoka, ekscelencjo?

— Nie — odpowiedział z uśmiechem chiński poseł. — Smoka nie widziałem. Ale niech pani pomyśli o monetach swego kraju. Przedstawiają one wizerunek Bogini Wolności, a w rzeczywistości przecież taka postać nie istnieje. A może pani widziała wolność w Ameryce?



Jak marynarz kupował szelki?...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedynczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Adminstrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżki cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie